



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Prelekcje Henryka Lewestama. — Na Prowincji powieść w dwóch częściach przez Elżbę Orzeszkową. — Jan Ludwik Ubland. — Pogadanki naukowe. — Przegląd muzyczny. — Symbolika kwiatów. — O biżuterjach. —

PRELEKCJE PUBLICZNE

HENRYKA LEWESTAMA

Dra Filozofii, profesora Szkoły Głównej.

Prelekcja 8.

(d. 2 maja 1869 r.)

Niewielu w Historii Literatury Powszechnej naliczyć można poetów, którzyby w takim stopniu, jak Schiller, stali się symbolami całego jednego serca ludzkiego kierunku i gorącej miłości rodu ludzkiego, szlachetnego popędu ku wszystkiemu, co dobre i piękne. Wszystko co głęboko tkwi w duszy i czego samo wspomnienie niewymownym nas ogarnia zapalem, — wszystko co rwie się w człowieku do owiej nieznannej, lecz tęskno upragnionej krainy, w której wieki jasnością płoną prawda i wolność duchowa, — wszystko to uosobiło się w poecie Schillerze, uwydatniło się w jego utworach, z których każdy najgoręcej oddychająca pierś młodociana szerzej jeszcze rozpięta, napełnia ją silniej poczuciem boskich pierwiastków natury człowieczej. Za symbol zupełnie przeciwny — przynajmniej w mniemaniu powszechnym — uchodzi zwykle wielki Schillera współ-kolos poezji, Goethe, którego Faust był przedmiotem ostatnich moich kilku odczytów. Nieraz to już powiedziano, a najczęściej zwykł mawiać sam Goethe, że jego przeznaczeniem jest wznosić się od oznak szczegółowych do pojęć ogólnych, Schiller zaś schodzi z ogólności do szczegółów, — a słowa te streszczają jedną z najpowszechniejszych różnic ludzkiej natury — różnicę samem już swym istnieniem *uprawnioną* zupełnie, nie potrzebującą zarówno *poparcia*, jak nie dopuszczającą żadnego *sporu*, lecz wymagającą wprost jedynie uznania, zanim jeszcze wytworzy sobie kto zdanie o istocie poezji, lub o zaletach poety. Różnica ta najjawniej i najdokładniej występuje w Schillerze i w Goethem, jako w reprezentantach duchowych nie tylko swojej epoki, ale całych stuleci, w pewnym nawet znaczeniu, całej ludzkości. Jeżeli jeden z tych geniuszów, Goethowski, wstępujący ze szczegółów gatunkowych do określeń ogólnorodzajowych, ma za sobą zaletę szerszej podstawy, fundamentów bezpieczniejszych i głębszych, natomiast otrzymał on to zadanie, żeby istotnie *wznięść*

się do ogólności, a nie pozostać przy szczegółach, żeby nie marnować się na pojedynczych drobiazgach lub poziomej płaskości. Jeżeli drugi, geniusz Schillera, zstępujący z ogólności do szczegółów, posiada przywilej pewnego centrum, mety niewzruszenie wytkniętej, tedy jemu, ponieważ — jak się o nim wyraził Goethe — postępował bez przerwy ku wiekiściej prawdzie, dobru i pięknu i że

Po za nim, w bezielesny fałsz spowite,
To leży, co nas gnębi pospolite, —

tedy jemu znów ta dostała się misja, by w samej rzeczy zstępować do szczegółowości, by ją naprawdę uchwycić, a nie gubić się w czeczach i bezielesnych postaciach, w dowolnie stworzonych obrazach i próżnych marzeniach. Pytanie zatem nie może zachodzić takie, nad jakim Niemcy zwłaszcza bez końca się rozpisywali i po dziś dzień jeszcze rozpisyją: Czy jeden z dwóch tych poetów, i który z nich, *większym* jest od drugiego? — ale to raczej: czy każdy z nich w samej rzeczy odpowiedział i uczynił zadosyć owemu wewnętrznemu usposobieniu, które stało się jego udziałem? Otóż co do obudwóch odpowiedzi nasza stanowczo brzmieć musi: odpowiedzieli i uczynili zadosyć, a zaprzeczyć temu zdołają jedynie zaślepienia stronnice lub niedojrzałość umysłu. Wolny takich zaślepień tem się nie zraża, widząc jak Goethe opiera się na życiu rzeczywistym i jego pojedynczych objawach, by je podnieść do godności poetycznych postaci — a Schiller jak się pasuje, i trzusi, by swoim poglądom i myślom nadać rzeczywistość, treść, ciało i życie: — nie zraża się, jeżeli pierwszy nie zawsze dochodzi z realizmu, nieraz i z powszedniości, do doskonałej ogólności poezji, — albo drugiemu gdy się nie wszędzie to udaje, żeby wzniośle swe idee uwydatnić w wypukłości plastycznej. Jeżeli w tamtych podziwiamy obfitość gromadzącego się ze wszelkich stron materiału, w którym poeta sam niknie, jakby gubił się w jego labiryncie, — w drugim wyuagradza surowa godność idei moralnej: — jeżeli w Goethem przemawia do nas sama natura swymi wielokształtnymi i cudownymi tonami, jeżeli u niego drzewo zieleniejące i woda szumiąca jakoby własne swe mają pienia, które wydobywają się melodyjnie z liści i kwiatów, z fal potoku i kropelek kaskady, — tedy w Schillerze odzywa się do nas poważny w swój samotności myśliciel, którego dusza rozpamiętująca wyciąga tony do pieśni z własnej swój głębi, a harmonję jej z najświętszego przybytku całej swojej

istoty. Krótko mówiąc, natrafiamy tu na odwieczny ów kontrast *poezji natury z artystyczną poezją*, objawiającą się dotykalnie, już nie tak jak dawniej w narodzie i w indywiduach, lecz w dwóch odrębnych jednostkach: w Schillerze i w Goethem. — a jako zdaniem mojem byłoby niedorzecznem, chciał jednemu z owych rodzajów poezji windykować pierwszeństwo nad drugim, zamiast tylko poznawać i uznać każdy z nich w uzasadnionej swój właściwości, tak ujmują się również, z pod rąk punkta porównania między Schillerem a Goethem, a do celu przynajmniej, jaki ja sobie tu założyłem, sądzę że w zupełności wystarczy, gdy po charakterystyce jednego poety i głównego jego utworu, postaram się obecnie scharakteryzować drugiego i powiedzieć słów parę o dramacie, który wprawdzie jest najpierwszym owocem jego twórczości młodzieńczej i z konieczności dlatego słabuje na przywary nieokreślonego zapalowi młodzieńczemu właściwe, ale który też z tego samego powodu wykazuje najjawniej niekrepowany jeszcze niezem kierunek, w jakim rozwój umysłowy i artystyczny poety szedł następnie naprzód bez przerwy, lubo oczyszczając się oczywiście stopniowo z ziemskich dodatków namiętniej ludzkiej natury.

* * *

Jan Krzysztof Fryderyk Schiller urodził się 11 listopada 1759 r. w miasteczku Marbach, w Wirtembergii, której książę opiekował się nim szczególnie, ale po swojemu, t. j. jak niewolnikiem, podczas jego pobytu w medycznej akademii wojskowej w Stuttgarcie. Na wpół dzieckiem jeszcze, bo liczył lat zaledwie 17. powziął pierwszą myśl do tragedji „Zbójcy“ której tytułem pierwiastkowym był „Syn Marnotrawny“; przedmiotu do niej zaczerpnął z powiastki Schubarta, jednego z koryfeuszów okresu „Burzy i Prądu“. Młody poeta ukończył swoją tragedję, będąc jeszcze studentem Akademii, którą w roku 1780 opuścił, by wstąpić do służby jako lekarz pułkowy. Roku następnego, 1781, ogłosił ją drukiem.

W czasie, gdy się to działo, przewodcy owiej epoki „Burzy i Prądu“ albo już cofnęli się z pola, albo, jak Goethe, weszli już byli na drogę wręcz tamtej przeciwną. Natomiast fabrykanci, a do nich tylko tłum

miewał przystęp, pracowali jeszcze wciąż po dawnemu, i dla tego publiczność „Zbójców“ ze współczuciem przyjęła. Znużona prawidłami konwencji francuskiej, czuła ona potrzebę postaci potężnych i rodzimych; rada była zajmować się ludźmi, nie osłabionymi jeszcze przez cywilizację, — jeżeli nie bohaterami, niechby choć zbrodniarzami.

Niemiecki poeta i stronnik radykalnego przewrotu, nie mogąc tych młodzieńczych marzeń ucieleśnić, z fantazją swoją zmuszony był schronić się w gęstwinę Czeskiego Lasu, gdzie pod jego przewodnictwem przeciwnicy istniejącego porządku rzeczy stanęli do walki ze społeczeństwem. Otóż Schiller w tym pierwiosnku swoich utworów wznosił się wprawdzie od razu na wyżynę swęj twórczej potęgi i byłby bez wątpienia stworzył dramat olbrzymi, charakterystycznie znaczący w owym właśnie momencie życia narodów, gdyby śmiałość pomysłu i wykonania nie upadała niekiedy pod gniołącym ciężarem niemieckiej fantastyczności. W „Zbójcach“ Schillera zaś widzimy w samej rzeczy owego ducha niemieckiego, który w istocie nigdy nie jest u siebie, który dlatego nie może z własnej rzeczywistości wcale brać miary tego, czego nienawidzi, lub czego by pragnął, — i który zatem, chcąc walczyć za ideałami natury, olbrzymią swą siłę roztrwonić musi w dziwactwach jakiejś zbójckiej jaskini. Z tego zapatrząc się stanowisko, „Zbójcy“, pierwszy ten utwór dramatycznej działalności poety, są jakoby początkiem szeregu prac bohatera, który

Dziekiem w kolebce, gdy łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem zdusił Centaury,
Ten piekła ofiary wydrze;
Do nieba sięgnie po laury — —

lubo niewyrobiona, niedojrzała raczej młodzieńczość w tragedii tej zbyt jest jeszcze widoczną, iżbyśmy ją uznać mogli za co innego, jedno za zapowiedź tego, co w następstwie Schiller na widokrepu literatury europejskiej i swojej, tak świetnie miał urzeczywistnić.

Przedewszystkiem utwór ten był zapowiedzią stanowczej zdolności młodzieńca do dramatu; — bo jakkolwiek plan tej sztuki nazwiemy surowym, treść jakkolwiek bezkształtną, a nawet potworną, język miejscami nienaturalnym, — jakkolwiek poeta (co z mojej strony uważam za wadę daleko ważniejszą i głębszą od wymienionych tu dopiero, a powtarzanych zwykle do zbytku), jakkolwiek poeta widocznie ubiega się od początku do końca za efektami, niepodobna jednak nie przyznać, że również od początku do końca ciągnie się przez tę tragedję akcja niezmiernie ożywiona, niesłychane bogactwo uczucia, które wydobyte z głębi serca ludzkiego, wszystkie też serca, jakoby iskrą elektryczną, wstrząsnąć musi do głębi, i którego zawsze jeszcze dość wielka pozostanie obfitość, choć potrącimy z niego wszystkie przesady i potworności. Dramat ten niemniej dokładnie określa wspomniony już poprzednio kierunek umysłowy Schillera, pragnący zawładnąć panującymi wyobrażeniami epoki, by je poetycznie ujawnić i podnieść; — jest to, — w prawdziwym znaczeniu wyrazu, sztuka tendencji czasowych. Występek tu staje na przeciw występkowi, zbrodnia naprzeciw zbrodni; — a jest-to występek pełzającej, niskiej, jadowitej intrygi, złośliwości cichaczem trującej, — jest-to zbrodnia samowolnego burzenia wszelkiego porządku społecznego i politycznego. Otóż występek ów da się tylko ukarać przy pomocy tej zbrodni, — występek, jako już niepoprawny, poświęcony na zgubę, zbrodnia zwrócona na drogę żalu, a zatem istotnej poprawy. I bez wątpienia, niezmiernie to powodzenie, jakiego „Zbójcy“ za pierwszym się ukazaniem doznali, w znacznej części wprawdzie policzyć należy na karb spoczywającej w tym dramacie prawdy subiektywnej, skutkiem której prześcigł on o całą nieskończoność liczne podówczas dramata i powieści zbójckie, albo wojenne, — ale w znaczniejszej jeszcze części na karb patologicznego zajęcia, jakie budziła we widzach treść samego przedmiotu.

Owa subiektywność wyraża się w „Zbójcach“ w li-

rycznym niemal nastroju krwawej satyry, którą Schiller chłoszcze z kolei i bez litości wszystkie instytucje rodzinne, społeczne, państwowe. Sam poeta w przedmowie swojej zaleca czytelnikowi, by tragedji tej nie uważał za nic innego, jak tylko za powieść dramatyczną, korzystającą z zalet dramatycznej metody, która umie chwycić duszę jakoby na jej najskrytszych czynnościach, — za opowieść nie krępującą się granicami utworu teatralnego, ani też ubiegającą się za wątpliwym tryumfem przedstawienia na scenie. Wyznaje on nawet otwarcie, że największą treść „Zbójców“ powinna ich wykluczać z teatru, bo, jak mówi: „Ekonomia dramatu wymagała koniecznie, że wystąpić w niej musi niejeden charakter, obrażający delikatniejsze uczucie i obyczaje; — każdy zresztą malarz ludzi ulega tej konieczności, jeżeli stworzyć zamierza kopię świata rzeczywistego, nie zaś idealne przesady, albo istoty urojone jedynie w świecie książkowym. Taka już raz jest moda na ziemi, że cień złego pada na dobre i że cnota w kontraście z występkiem najjaskrawszy otrzymuje koloryt. Kto założył sobie takie zadanie, żeby obalić występki, a religię, moralność i prawa społeczne mścić na ich wrogach, ten musi ów występki odsłonić w nagiej jego ohydzie, i postawić go przed oczyma ludzkości w całych olbrzymich rozmiarach, — ten sam koniecznie przebież powinien jego nocne bezdroża, — i umieć się wczuć w uczucia lub wmyśleć w myśli, na których nienaturalność dusza jego się wzdyga.“

Nie też dziwnego, że gdy się tak wczuwał i wmyślał poeta, znalazły się liczne jednostki, które w tych egotycznych jego wylewach, głoszonych przez usta działających w dramacie postaci, spotykały się z własnym swoim usposobieniem, ze swojemi życzeniami i poglądami; — ponieważ zaś wiek młodociany głównie bywa skłonny do oburzenia się na niesprawiedliwości ludzkich urządzeń, przeto ten jaskrawy i paradoxalny duch czasu, którego dwie główne figury tragedji wcielonymi są uosobieniami, pozostał na później jeszcze społecznym jakoby sztandarem młodzieży, pod którym ohocho szła do walki z rzeczywistością. W podobnej walce oczywiście przemódz musiała rzeczywistość, — jakoż przemogła — — nawet przemagać będzie do końca, tak iż „Zbójcy“ zeszli w życie do znaczenia gwałtownej wprawdzie, lecz przesadnej, a ztąd i bezsilnej w gruncie pretensyi przeciw nie tylko już istniejącemu, lecz w ogóle jakiemu bądź porządkowi.

(d. c. n.)

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

II.

SZLACHCIC ZAGRODOWY.

O trzy wiorsty od Adampola, tuż obok kopców granicznych odznaczających grunta hrabiny X. dzierzawione przez pana Snopińskiego, zielenił się śliczny gaj brzoźowy i dębowy, mający rozległości kilkanaście najwięcej morgów. Gaj ten miał tę szczególność że z obu stron swoich tworzył dwa półkola, jakby wielkie altany otwarte na szeroko rozciągające się pola i łąki. W każdej z tych altan utworzonych przez naturę czy może ręką ludzką, stał dworek szlachecki, z szarym domem o sześciu czystych oknach od frontu, z owocowym ogrodem, kilku gospodarskimi budowlami i dziedzińcem otoczonym porządnym płotem z ostrokołów. Dwa te

dworki rozdzielone z sobą całą przestrzenią kilkunastu morgowego gaju, były tak podobne do siebie jakby to jedna stawiła ręką. Cała różnica między niemi zachodziła w tem, że jeden z nich patrzył na północ drugi na południe, i że w jednym z nich wyraźnie w tym który ku południowi był zwrócony, budowlę gospodarskie były nieco większe i ogród rozleglejszy, co oznaczało większą rozległość należącego doń folwarku. Gdyby poeta jaki z myślą do zachwyty łatwą, został nagle przeniesiony w to miejsce, uradował by się niezawodnie wielkimi choć skromnymi pięknościami natury, które w niem pannaowały, mianowicie o wczesnej wiosennej porze roku.

Poważna, uroczysta cisza zalegała ledwie rozzielone pola, a przerywało ją tylko brzęczenie owadów, które w licznych rojach unosiły się nad łąkami i kapały różnobarwne skrzydła w potokach słonecznych promieni. Niekiedy z pomiędzy zagonów, zrywał się skowronek i nucąc srebrną piosnkę wznosił się prostopadle w górę, aż rozpułnął się pod niebem w ledwie dostrzegalny punkcik szary. Niekiedy także na wysokiej kępie sterczącej wśród łąki, albo na spruchniałym pniu dawno zrabanej wierzy, stanął pstrokaty bocian i zaklekotał donośnie, a klekotaniu jego odpowiadał od strony którego z dworków cichszy bo stłumiony przestrzenią klekot bocianicy. Pod zieloną ścianą gaju, białe, żółte i szafirowe motyle jak skrzydlate obłoczki podnosiły się z pomiędzy trawy, osiadły na młodziuchach listkach brzoźowych albo na gałęziach dębiny, po chwili zrywały się z listków i gałęzi, unosiły się wysoko aż do szczytów drzew i spuszczały się znowu ku ziemi, łącząc się, rozdzielając, goniąc i opadając znowu w trawę.

Ale w gaju dopiero, w samej głębi jego, wrzało najgęstsze, najbardziej rozbudzone i rozmaite życie natury. Roje pastwa szczebiotały tam na wyścięgi, dzieciół wystukiwał sobie robaczki w konarze starego dębu, kukulka figlarnie odzywała się z zarośli, wiewiórki skakały po drzewach puszystymi kitami wstrząsając gałęzie, u dołu zielony mech drzał poruszany odbywającą się wśród niego robotą mrówek.

Pomiędzy tem wszystkim słońce przeciskając się przez gąszcz leśną, rzucało gdzieindziej szerokie smugi jasności, gdzie indziej migotało wązkiem niemi lub oderwanymi iskrami światła, gdzieindziej jeszcze zostawiało w półcieniu całe przestrzenie osłonięte grubemi pniami i rozłożystymi gałęziami, pokryte różowym wrzosem i zapełnione szelestem uścielających gniazda ptaków, brzęczeniem szukających pokarmu owadów i fruwaniami różnobarwnych motyli. A z góry po przez szczyty drzew zaglądały błękitne i białe kawałki obłoków jakby ciekawe spojrzeć w tę głąb cieniistą w której rzucały się miliony drobnych, śpiewających i kochających się na wyścięgi istot, w której z pomiędzy trawy wykwiatały blade nieśmiertelniki żółte, podnosiły się dzwonki lilijowe, albo wśród mchu pasowały lśniące grona żórawin.

Tą cichą a jednak gwarną, prostą, bezdennie głęboką sielanką przyrody, otoczone były dwa dworki szlacheckie, stojące w dwóch wklęsłościach gaju. Patrząc na nie, jak nisko, szare ale czyste stały tam między trzema ścianami zieleni i jedną stroną niby wielkiem oknem patrzyły na równinę pól i łąk, trzeba było pomyśleć, że mieszkańcy ich wykołysani urokiem wiejskiej i nieprzeinaczonej sztuką natury musieli koniecznie w sercach swych wyhodować również prostą a wdzięczną poezję, również skromną w swych objawach a pełną życia głębią uczuć.

Obok tej poetycznej, znać jeszcze było wkoło obu dworków wysoko podniesioną praktyczną i realną stronę życia. Otaczające je grunta uprawne były wzorowie i z niezmierną starannością, nigdzie w okolicy nie dawały się widzieć zagoni tak równo i pulchno zorane, rowy tak we właściwych wykopane miejscach, łąki tak oznaczone i oczyszczone z zarośli. Na łąkach tych pasły się trzody bydła i owiec, nieliczne wprawdzie ale pięknej rasy i wybornie utrzymane, ja wiejskie wyrostki którzy je pasli nie mieli wychudzonych i zaspanych twarzy, a na

sobie brudnej lub obdartej odzieży, ale w czystym i całym ubraniu, z rumianami policzkami i wesołym wzrokiem, biegali po łąkach goniąc się i swawoląc. Nie jeden z nich siadywał na kępie i otwierał elementarzyk z malowanymi obrazkami, albo książkę do nabożeństwa, i spoglądając często na powierzone sobie stada, czytał półgłosem lub nucił pobożną piosenkę.

W ustroni tej wszędzie gdzie spojrzeć mogło oko ludzkie, widać było jakąś rękę umiejętną i opatrzną, która rządziła wszystkim. Od szarych, jednostajnych domów, dwóch dworców, od twarzy ludzkich które przesuwały się w ich pobliżu, aż do każdego zagona gruntu, do każdej zrównanej kępy na łące, wszystko tam tętnęło ładem, wdziękiem, starannością. Jak przy pierwszym spojrzeniu na tamęczną naturę, można było przypuścić, że dworki te posiadają serca poetyczne i głębokich uczuć pełne, tak przyjrząwszy się panującemu tam porządkowi, trzeba było pomyśleć, że oprócz serc poczciwych, musi tam być i umysł jakiś jasny a wytrwały, który pojął wysokie zadanie człowieka, udoskonalanie wszystkiego co go otacza, i choćby z drobnej otaczającej go sfery, wyciągania wszelkich możebnych korzyści dla siebie i świata.

Pewnego kwietniowego ranka, z jednego z dworców tych, tego właśnie który frontowymi oknami patrzył na północ, parę godzin przed południem wyszedł młody jeszcze mężczyzna. Zwyczajem pilnych gospodarzy, starannie zamkał za sobą wrota dziedzińca i poszedł drogą wiodącą ku polom i obsadzoną młodeymi topolkami. Potem zwrócił się na miedzę biegnącą wzdłuż gaju, między zagonami bujnie wschodzącego żyta. Szedł zwolna, z rękami w tył założonemi, w szarem ubraniu z prostego sukna, w gospodarskim obuwiu i okrągłym słomianym kapeluszu, średniego wzrostu i szerokich ramion, twarzy ogorzałej ozdobionej ciemnym bujnym wąsem; z ubrania i powierzchowności wyglądał na zamożnego zagrodowego szlachcica.

Zaledwie uszedł na miedzy kilkadziesiąt kroków, gdy nagle tuż prawie z pod stóp jego zerwał się z zagonu skowronek, uniósł się parę łokci nad ziemię i zaśpiewał. Mężczyzna jakby lękając się krokami swemi spłoszyć ptaszka, stanął i patrzył. Skowronek śpiewał ciągle i prostopadłym lotem wlatywał coraz wyżej, mężczyzna ścigał go wzrokiem. W końcu ptaszyna wzniósł się bardzo wysoko i zniknął prawie pod obłokami, tylko śpiew jego srebrzysty i donośny, dochodził z dali do pól pogrążonych w cichości, a człowiek straciwszy go z oczu spuścił głowę i nie szedł dalej, ale stał z założonemi na piersi rękami, pogrążony w zamyśleniu. Czyżby w zamyślenie to wprawił go widok i śpiew drobnego ptaszka? Ktoby jednak wnosil z prostego ubrania i niemniej prostej powierzchowności jego, przypuściłby raczej, że szlachcic hreczkosiej myśli o tem, ile z każdego morga będzie miał tego żyta śiód którego stoi. Ale dla czegoż zadumał się on wtedy dopiero, gdy z pod stóp jego wleciała wiosenna ptaszyna i z pod obłoków słała mu wdzięczną piosenkę swoją? Zamyślenie to było skutkiem głębokiego poczucia natury, nie potępionego nawet codziennem z nią obeowaniem? Albo może odbiła się w nich rzewna poetyczność serca, okrytego szarem i grubym odzieniem?

Bądź co bądź, to pełne zachwyty przypatrywanie się lotowi skowronka, i to zapadnięcie w zadumę niepozornie wyglądającego mężczyzny, widział człowiek który w tej samej chwili wychylił się z za skraju lasu, stanął także i bacznie przypatrywał się stojącemu śród pola szlachcicowi. Był on czarno ubrany i trzymał pod ramieniem dużą, tęką, jaką noszą ze sobą podróżujący uczeni lub artyści. Tęka ta, okrągły popielaty kapelus, całe ubranie zastosowane do pieszych wycieczek, i posiwiałe włosy wyglądające z pod kapelusza, nadawały mu w istocie postać poważnego turysty. Postąpił kilka kroków; szelest jaki uczynił, obudził z zamyślenia człowieka w szarym surducie, podniósł on głowę i oba spojrzeli na siebie, szlachcic z lekkim zdziwieniem, turysta uprzejmie i życzliwie. Oba machinalnie pra-

wie podnieśli ręce do kapeluszy i skłonili się sobie wzajemnie.

— Przepraszam pana, odezwał się nadchodzący, czy nie możesz mi pan powiedzieć, jak daleko znajduję się od Adampola?

— O dobre trzy wiorsty, które nawet czterma nazwać by można, odpowiedział szlachcic.

— A! zawołał turysta z rodzajem zakłopotania: nie spodziewałem się odejść tak daleko, ale przypadkiem zbłądziłem!

— Pan pewno pierwszy raz jesteś w tych stronach? spytał szlachcic.

— Tak, powiedział przybyły; przyjechałem w te strony w celu odbycia kilku naukowych, wycieczek i *locum standum* mam w Adampolu.

Gdy to mówił turysta, szlachcic powtórnie uchylił nieco kapelusza.

— A, rzekł, dziękuję przypadkowi który w ustroni tej dał mi poznać człowieka, podróżującego w tak szlachetnych i pożytecznych celach.

Słowa te i dźwięk jakim były wypowiedziane, odbiły się od prostaczęj postaci szlachcica nie mniej dziwnie jak uprzednia poetyczna zaduma, w jaką go wprawił widok i śpiew skowronka. To też mężczyzna z tęką spojrzął nań z zajęciem i odrzekł:

— Uważałem przed chwilą, że i pan lubujesz się naturą, którą ja z naukowego badam stanowiska. Z taką przyjemnością zdawałeś się pan słuchać pieśni skowronka i patrzeć na lot jego!

Szlachcic nie zmięszał się bynajmniej tem spostrzeżeniem przybyłego, uśmiechnął się tylko i odpowiedział z prostotą:

— Tak panie, kocham naturę we wszystkich jej przejawach, bo ona jest towarzyszką moją od lat dziecińczych aż dotąd. Ona była świadkiem wszystkich prac i pociech mego życia, a także i cierpień, których podobno żadnemu nie brakuje człowiekowi. Każda pora roku sprowadza mi mnóstwo przypomnień, każdy kawałek pola, ptak, roślina, drzewo niemal każde, są mi znajome niby rodzeństwo z którym się zehodowało pod jednym dachem. Pan zapewne uczysz się poznawać naturę, a może i innych znajomości tej nauzasz; ja czuję ją i kocham.

Im więcej szlachcic mówił, tem zwiększało się zdziwienie turysty. Przypatrywał się mu coraz ważniej.

— Pan zapewne jesteś właścicielem jednego z tych folwarków, które się tu pod gajem znajdują? spytał po chwili.

— Tak panie, oto mój dom, odparł szlachcic wskazując dworek o kilkaset kroków odległy, i szybko dodał:

— Ale jeżeli pan dziś opuścisz Adampol musiałoby to być chyba bardzo rano, a ponieważ zbłądziłeś, musisz być porządnie zmęczony. Może pan przyjmiesz u mnie gościnność choć na godzin parę, dla wytchnienia i posiłku?

— Z przyjemnością przyjmuję uprzejme zaproszenie pana, grzecznie i z wyraźnem zadowoleniem odrzekł turysta; tembardziej że badając roślinność stron tutejszych, rad też będę poznać ich mieszkańców.

Szlachcic skłonił się lekko, i już usunął się dla zostawieniu gościowi swemu pierwszeństwo na wąskiej miedzy, gdy ten wyrzekł żywo:

— Ale ponieważ miły dla mnie traf, sprowadził nas tu razem i będę gościem pańskim, trzeba przecież abyśmy wiedzieli wzajem jak się nazywamy. Jestem Andrzej Orlicki.

— A! ze zdziwieniem i radością, zawołał szlachcic, więc pan jesteś tym znanym powszechnie i tak pożytecznie pracującym naturalistą naszym, którego prace i nam prostakom pomagają znać i miłować naturę! Serdecznie, bardzo serdecznie witam pana na progę mojej zagrody. Nazywam się Bolesław Topolski.

To mówiąc, jakby przez głębokie uszanowanie dla nauki i pracy człowieka, którego miał przed sobą, zdjął całkiem kapelus i wyciągnął rękę ku swemu nowemu znajomemu.

W tej chwili dopiero, gdy przez zdjęcie kapelusza odsłoniła się górna część twarzy zagrodowego szlachcica, pan Andrzej mógł przyjrzeć się głównym

cechom jego fizjonomji. Była to twarz, która na pierwszy rzut oka nie odznaczała się niczem, ogorzała i pospolitych rysów. Gdy nie mówił i oczy miał spuszczone, niktby ani chwili nie myślał mu przypatrywać się, i tysiące osób mogłoby przejść koło niego, nie spojrzawszy nań inaczej jak mimochodem. Ale gdy podniósł wzrok, zwracał na siebie koniecznie uwagę każdego kto nań patrzył, bo miał takie spojrzenie, jakie rzadko spotkać można u ludzi jego stanu. W dużych szarych oczach jego była niepospolita głębia dobroci i myślącego spokoju, z za których wypływała chwilami nieokreślona jakaś rzewność, niby odbłask tajonej a może i nieświadomej siebie poezji serca. Czoło miał dość wysokie i bielsze od reszty twarzy, włosy ciemne krótko przystrzyżone, usta bardzo zwyczajne, trochę nawet zbyt wypukłe i nie zupełnie kształtne gdy milczał, ale gdy mówił lub uśmiechał się, nabierały one wyrazu tej samej dobroci jaką miały oczy, i układały się w pewne zagięcia znamionujące moc i męzkosć charakteru. Miał też niezwyčajny uścisk ręki, ciepły, silny i jakby nieco drżący. Kiedy w uścisk ten ujął rękę czyją, zdawało się że mu w dłoń przechodziły tętna żywo uderzającego serca.

Wszakże oprócz spojrzenia, wyrazu ust i uścisku ręki, wszystko w powierzchowności jego było pospolite i bynajmniej nie zajmujące.

Nigdyby powierzchownością swoją nie mógł zwrócić na siebie oczu pięknej kobiety, a wszyscy którzy go mijali, nie widzieli w nim najczęściiej nic, prócz poczciwego może prostaka. Ale niekiedy i nagle jakby promień przesunął się po jego twarzy i postaci, w oczach błyskała myśl, w uścisku dłoni zadrgało serce, i każdy kto go miał za prostego poczciwca, dojrzawszy promień ten, odstępował ze zdziwieniem i mówił sobie: „Nie spodziewałem się!”

Ten promień duchowy przenikający niekiedy na zewnątrz przez oczy, uśmiech i uścisk ręki Bolesława Topolskiego, nie mógł ująć uwagi pana Andrzeja. Musiał także powiedzieć sobie: „nie spodziewałem się!” bo z niezmiernem zajęciem przypatrywał się swemu towarzyszwowi, gdy zszedłszy z wąskiej miedzy, szli obok siebie drogą ku dworkowi wiodącą.

— Jakaż wzorową uprawę pól widzę tutaj, rzekł Pan Andrzej, puszczać spojrzeń po długich, wązkich, wypukłych i jakby ręką ludzka usypanych zagonach! Czy wiesz pan że rzadko w kraju naszym zdarzyło mi się napotkać tak umiejętnie i starannie urządzone gospodarstwo. To istny hollenderski ogród!

— W istocie, odpowiedział Bolesław, robię wszystko co mogę i umiem, aby niewielki kawałek gruntu jaki posiadam, podnieść do najwyższej możebnej wartości. Czynie to i dla własnej korzyści, i z przekonania że każde pojedyncze wysilenie jakkolwiek odosobnione, każda praca jakkolwiek w małym zamkniętym obrębie, skoro tylko umiejętna jest i wytrwała, może choćby drobne ziarenko dorzucić do ogólnego pożytku.

— Dawnoż pan mieszkaś tutaj? spytał p. Andrzej którego zajęcie wzrastało.

— Urodziłem się w tej zagrodzie, odrzekł Bolesław, a w dziedzictwie otrzymałem ją po ojcu przed ośmiu laty.

— A więc musiałeś pan już otrzymać po ojcu folwark ten w tak pięknym stanie?

— Nie zupełnie. Ojciec mój rzadko i tylko przy końcu życia swego w nim mieszkał, bo całą młodość i część dojrzałego wieku spędził na wojaczce, która go prowadziła po odległych krajach. Był on we Włoszech, w Hiszpanji, na San Domingo i w Algierze, a gdy wrócił do ojczystej zagrody, przywiózł z sobą bogaty w doświadczenie i wiadomości umysł, ale ciało osłabione ciężkimi trudami jakie ponosił i niezdolne już do pracy fizycznej wymagającej ruchu i energii.

Matka moja, święta domowemi cnotami, umarła wkrótce po jego powrocie; ja miałem wtedy lat piętnaście. Folwark nasz w niezmiernie opłakanym naówczas był stanie, znać w nim było wieloletnią, nieobecność gospodarza. Ojciec mój w części tylko mógł temu zaradzić, i tego tylko dokazał że małą

majątność naszą od zupełnej uchroni ruiną, ale podnieść ją i udoskonalić sterane nie dozwoliło mu zdrowie. Natomiast zajął się mną z całym zapalem duszy, nie ostudzonej długim przebytem życiem, z całą miłością ojca, który pragnie w syna swego przelać samego siebie.

Uczył mnie, a nauczyć mógł wiele bo sam z otwartymi oczami ducha po świecie wędrował; najbardziej jednak, najusilniej zaprawiał mnie do pracy, do pracy rąk i myśli, ciała i ducha, bo jak powiadał, obie są również cenne i pożyteczne i obie powinny być ciągłymi towarzyszkami życia prawdziwie uczciwego człowieka. Wpływał on na mnie niezmiernie, mocą swą nieograniczoną dla mnie miłości i urokiem męskiej, jedrnej poezji, której pełne było jego rycerskie serce, a która z wolna zdawała się sączyć i przelewać w moje. Mając lat 20 czynnie już zająłem się gospodarstwem; zrazu była to praca ciężka, mozolna, taka która wymaga uczestnictwa własnych rąk, budzi przed wschodem słońca i za ledwie parę godzin wieczornych zostawia dla porachowania się z własnymi myślami. Ale rażno mi było i ochocho pracować pod ojcowskim okiem, z myślą że mu na stare lata daję opiekę młodego ramienia i byt wygodny zapewniam. Zdarzały się różne przeciwności, nieurodzaje, upadki bydła; ale wszystko to przeniosło się jakoś i naprawiło dzięki Bogu, i miałem tę najwyższą pociechę, że ojciec mój ostatnie lata swoje przeżył w nowo zbudowanym i wygodnym choć małym dworku, który stanął na miejscu starego, nawpółrozwalonego i że te ściany w których prawdopodobnie życie całe przepędzę, słyszały jego dziękczynne i gorące błogosławieństwa, jakie przed zgonem na moją głowę zlewał.

Przestał na chwilę mówić Bolesław, i twarz jego pokryła się szybko stłumionem wzruszeniem. Jakby chcąc pokryć wzruszenie to, uśmiechnął się wesoło, spojrzął na pana Andrzeja swoim głębokim, dobrem spojrzeniem, i rzekł:

— Ale uważam że wpadłem na tor opowiadania panu mojej biografii. Daruj pan! to nie zajmujące. Przypominam sobie że słyszałem jak ktoś, który tu u nas w okolicy za bardzo uczonego uchodził, utrzymywał że nie bardziej nudnego niezna, jak wszelkie biografje.

Pan Andrzej serdecznie na niego popatrzył.

— Od kilku chwil za ledwie znam pana, rzekł, ale wybacz mojej otwartości gdy powiem, że wzbudziłeś we mnie takie zajęcie, iż radbym choćby przemocą wdrzeć się w najdrobniejsze szczegóły twego życia. Skłonił głowę z podzięką Bolesław.

— Pragnąłbym, odpowiedział, aby to zajęcie się mną pana, obdarowało mnie z czasem jego szacunkiem i życzliwością. Co do szczegółów mego życia, są one bardzo zwykłe i powszednie.

Folwark mój jest niewielki; jest to raczej zagroda szlachecka jak folwark. Prowadzę w nim czteropolową gospodarkę, bo taka najlepiej przypada do natury gruntów. Na każdą zmianę mam po włóce ziemi, półtora włóki łąki i tyleż prawie lasu; oto i całe moje bogactwo. Miałem przywiązanych do ziemi tej trzy rodziny poddanych chłopów, ale ich uwolniłem zaraz po śmierci ojca, w skutek ostatniej woli jego która się i z moją zgadzała. Odtąd zaprowadziłem parobczane gospodarstwo, i przekonałem się że takie gdy tylko jest umiejętnie prowadzone, daleko więcej przynosi korzyści gospodarzowi niż przymusowa praca.

Dziś otrzymuję z Topolina dochód taki, jaki gdzieindziej mają z majątków cztery albo i sześć razy większych od mego. Latem i jesienią pracuję bardzo nad rolą, zimą i wiosną mniej mam do czynienia z gospodarstwem, to też zamykam się w mojej szarzej kochanej chacie i staram się nie zatracić tego, co mi z dziedziny wiedzy pozostawił mój ojciec; a może przy pomocy Bożej i dorobić się przybytku moralnego dobra, tak jak już dorobiłem się przybytku powszedniego chleba.

Kończąc to mówić Bolesław, wraz swym towarzyszem znalazł się na ganku swego domu, i uprzejmym gestem wskazał wejście gościowi.

Z widnej, czysto wybielonej i wymiecionej sieni

pan Andrzej wszedł do jasnego o dwóch oknach wychodzących na dziedziniec pokoju.

Podłoga w nim była z prostych desek, niemalowana ale gładko ułożona i czysto wymyta, pod ścianą między oknami stała kanapa z żółtego jesionu, przed nią stół okrągły pokryty serwetą pięknej i delikatnej roboty kobiecej.

U okien były firanki z gładkiego białego muślinu, pod ścianami stały wyplatane żółte krzesła, na ścianach wisiało kilka niewielkich portretów znakomitych w dziejach ojczystych ludzi, w prostych drewnianych ramach malowanych czerwono z czarnymi kantami. Przez otwarte drzwi do drugiego pokoju, widać było łóżko ozdobione dużym, nieco splewiałym dywanem, stolik z przyrządami do pisania i z kilku rachunkowymi oprawami księgi, kilka półek przy ścianie napełnionych książkami różnych formatów, a nad książkami zawieszony na haku pęk wielkich kluczów, od spichrzów znać i stodoły.

Skromne było to szlacheckie mieszkanie, czyste, jasne i nieco surowe. Żadnych ozdób, nic w niem nie było miękkiego, wszystko tylko ściśle potrzebne choć dostatale. Klucze zawieszono nad książkami i książki stojące pod niemi na półkach, zdawały się być symbolami mieszkania i żyjącego w niem człowieka.

Dwie tylko były tam rzeczy drobne, ale stanowiące sprzeczność z surowością i pierwotną prostotą całego otoczenia: serweta na stole wyraźnie kobiecą ręką pleciona z jedwabiu jak z nitek pajęczych, i doniczka na oknie z pięknie kwitnącym białym narcyzem.

Te dwa przedmioty zdawały się mówić o kobiecie, tęchły kobiecością której zresztą śladów nigdzie więcej nie było.

— Przepraszam pana że opuszczę go na chwilę, rzekł Bolesław do gościa, gdy obaj weszli do mieszkania; pan jesteś głodny, a ja nie zapominam o tem że jestem gospodarzem i że natrętnie prawie pociągnąłem pana do siebie. Rozkażę więc podać przekąskę, przyspieszyć obiad, i natychmiast służyć będę.

To mówiąc wyszedł, a pan Andrzej zaczął rozglądać się wkoło. Spojrzął w głąb sąsiedniego pokoju którego drzwi na oścież były otwarte, a wiedziony ku książkom zamiłowaniem uczonego, zbliżył się do nich.

Półki zawierające księgozbiór Bolesława, dzieliły się na dwie kondygnacje przedzielone podłużną deską. Po jednej stronie były grube tomy, na których skromnej czarnej oprawie jaśniały imiona: Sniadeckich, Kollątaja, Naruszewicza, Skargi, Lelewela i parę innych; po drugiej stały powieści i poezje nowszych czasów przeważnie, a między niemi parę tomów Kochanowskiego, Krasickiego i Reja z Nagłowic.

Pan Andrzej czytał tytuły książek, i przyjemne zdziwienie wzrastało na jego twarzy. Wypadkiem rzucił spojrzenie na bok i ujrzał na niewielkim stoliku umieszczonym przy łóżku, parę gazet i ilustracji polskich; pomiędzy niemi stał lichtarz z niedopaloną świecą i można było odgadnąć że niedawnie jak dnia poprzedniego, Bolesław przed zamknięciem do suu oczów pisma te czytał. Leżały one nawet w nieładzie, świadczącym że pilnie zajmowano się niemi.

Pan Andrzej patrzył i zamyślił się, ale z zamyślonych oczu jego zniknął całkiem smutek a ukazała się w nich błogość taka jaką czuje człowiek, który widzi wcielającą się najulubieńszą ideę swoją.

W zamyśleniu zdjął z półki jedną z książek, była to korespondencja Kollątaja z Czackim.

Przerzucając ją pan Andrzej machinalnie prawie, gdy z pomiędzy kartek wypadł kawałek cienkiego papieru. Podniósł go z podłogi i mimowolnie rzucił nań okiem; — kilka wierszy drobnem i wprawem pismem było na tym papierze. Pan Andrzej sądził iż są to notaty z poważnego dzieła, w którym się papier znajdował, i przeczytał:

„Widziałem ją dziś, dobrą i piękną jak Anioł. W oczach jej było niebo dobroci, na ustach raj rozkoszy“

„Kobieta dobra i piękna, to dla mężczyzny źródło

z którego on co chwilę czerpie szczęście i siły na surowe i pracowite życie.

„A taką jest ona.

„A ona będzie moją!“

Pan Andrzej uśmiechnął się i rzekł do siebie:

— Nie potrzebnem to przeczytał, ale nie spodziewałem się, aby dwaj uczeni mężowie: Kollątaj i Czacki, byli powiernikami marzeń miłosnych.

Włożył kartkę do książki i książkę postawił na półce. W tej samej chwili ozwał się obok niego wesół głos Bolesława.

— Uważam że pana zajęła nieco biblioteczka moja. Połowa jej, ta mianowicie która składa się przeważnie z dzieł minionych stuleci, dostała mi się po ojcu, drugą sam dokupiłem.

Pan Andrzej podniósł wzrok, i po chwili milczenia rzekł gorąco:

— Daj Boże aby syn pana, jeśli go kiedy mieć będziesz, tak samo snuł dalej poczciwą i rozumną myśl, która ukrywa się pod tą słomianą strzechą, jak prawdziwa perła na dnie niepokazanej muszli!

Uśmiechnął się Bolesław i uściśnął rękę swemu gościowi.

— Mało mojej zasługi jest we wszystkim, co pan dobrego lub rozumnego zobaczyć możesz w tej mojej zagrodzie. Od wieków było tutaj poczciwie i rozumnie, a ja ciągnę tylko dalej nic tradycji ojczystej przekazanej mi po przodkach, a bezpośrednio otrzymanej w spuścieźnie po ojcu.

— O tak, odparł z przejęciem się p. Andrzej; trzeba być złym i bezrozumnym, aby poczciwej tradycji rodzinnej nie uszanować i nie uszlachetnić ją własną pracą.

— Pozwól szanowny mój gościu, rzekł Bolesław, abym teraz zaprosił cię na prozaiczne pole powszednich potrzeb. Przekąska na nas czeka.

To rzekłszy, wprowadził gościa do pierwszego pokoju. W chwili gdy tam wchodzili, stary sługa o włosach i wąsach białych jak śnieg, czerstwej twarzy i szerokiej szramie na czole, stawił na stół umieszczony przed kanapą, tacę pełną wiejskich przysmaków: wędlin, serów i litewskich nalewek. Bolesław zbliżył się do służącego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł do p. Andrzeja.

— Przedstawiam panu poczciwego Krzysztofa, starego towarzysza broni mego ojca.

Pan Andrzej przemówił kilka słów przychylnych do starego wojaka, który odpowiedział kłaniając się z żołnierską i uśmiechając się pod wąsem.

— Je parle français, mosie, j'étais sept ans en France, beau Paris!

Zaśmieli się gość i gospodarz z tej improwizowanej francuzczyny, i z dobrym apetytem wzięli się do śniadania. W pokoju słońce szerokimi smugami złościło posadzkę, migotało po ścianach i oświetlało portrety wielkich mężów. Na dziedzińcu naprzeciw jednego z otwartych okien, młody chłopak w siermiędze pasł dwa stajenne, młode, ale dobrze utrzymane koniki. Stał on na zgrębie i wykonywał różne gimnastyczne sztuki, dla pokazania swęj zręczności przed dwoma rumianami dziewczkami, które o parę kroków od niego prały bieliznę w wielkiej balji. Dziewczęta śmiały się do rozpuku, a chichotaniu ich towarzyszyło skrzywienie żórawia u studni i plusk wody przelewającej się z wiadra do łoryta. Na dziedzińcu w około wszystko tęchło zielenią, świeżością, czynnem życiem, w pokoju panowała cisza i ład, a nieokreślona jasność wewnętrzna, niby promienie silnego i spokojnego ducha, okrywała twarz gospodarza swobodnie rozmawiającego ze swym gościem.

Pan Andrzej słuchał i patrzył na wszystko uważnie, w końcu rzekł:

— Prawdziwie zachwycony jestem pańską ustroją. Kto tu raz zajrzał, może śmiało powiedzieć: „i ja byłem w Arkadyi!“ Wiesz pan jednak co mi na myśl przychodzi? Do uzupełnienia tej cichej poezji i pełni życia jakie tu panują, braknie jeszcze kobiety, rozumie się kochanej, dobrej i myślącej.

Bolesław nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się, i jakby mimowoli rzucił spojrzenie na doniczkę

z narcyzem, a w oczach jego błysnął wyraz uszcześliwienia.

Czas upływał szybko, słońce już tylko parę godzin miało do zachodu, a pan Andrzej ani myślał o opuszczeniu szlacheckiej zagrody, która znać bardzo przypadła mu do serca.

Już było po obiedzie, gość i gospodarz siedzieli naganku prowadząc ciągle rozmowę, która nabywała coraz więcej zajęcia i ożywienia.

— Powiedz mi pan, rzekł pan Andrzej, kto mieszka w tym drugim dworku co tam za gajem stoi, a tak podobny jest do tego jakby obydwaj przez rodzonych braci postawione były?

Na to pytanie pana Andrzeja, nagły rumieniec oblał twarz Bolesława i pokrył mu nawet czoło.

Z rumieńcem tym wyglądał on jak człowiek, który na chwilę zapomniał był o czemś przejmującym na wskroś całą jego istotę, a ktoś mu o tem nagle przypomniał i przypomnienie to niby dotknięcie iskry elektrycznej wstrząsnęło całym jego organizmem. Pohamował się jednak szybko, i odrzekł spokojnie:

— W dworku tym który się nazywa Niemeńka, mieszka pani Niemeńska, kobieta w wieku i wdowa, z synowicą swoją panną Wincentą Niemeńską.

Trzeba było bardzo nieprzenikliwego oka i ucha, aby nie dojrzeć wymownego spuszczenia oczów i nie dosłyszeć szczególnego dźwięku głosu, z jakimi Bolesław wymówił ostatnie imię.

Pan Andrzej nie należał do rzędu nieprzenikliwych, to też uśmiechnął się nieznacznie, z przyjemnością popatrzył na Bolesława, i ozwał się:

— Pan zapewne często bywasz w Niemeńce? tak blizkie sąsiedztwo....

— O bardzo blizkie, odrzekł Bolesław, tem bliższe, że panna Wincenta jest moją narzeczoną.

Wyrzekł to z uśmiechem, ale głos mu zdrzął, i znowu nagły, pałowy rumieniec pokrył twarz na mgnienie oka.

W tem drzeniu głosu i w tych nagłych ognistych rumieńcach, pojawiających się przy wspomnieniu kobiecego imienia, u tego mężczyzny skończonych lat trzydziestu i męskiej powierzchowności, odbiła się przedziwna świeżość i dziewiczość serca, ale zarazem trysnęła z nich łuna płomienistej, namiętej natury.

Rozmowa po raz pierwszy przerwała się na chwilę. Bolesław spuścił wzrok i zamyslił się, jakby zapominał o tem co się działo koło niego, — pan Andrzej patrzył nań z baczną i życzliwą uwagą.

— Tak więc, odezwał się, masz pan tylko krok jeden uczynić do ślubnego ołtarza.

— Krok ten jednak dość długo trwać będzie, odpowiedział Bolesław; panna Wincenta bardzo młoda jest jeszcze, bo ma dopiero rok siedemnasty, za wolą jej i jej ciotki a także i w skutek własnej rozważliwości, postanowiłem czekać rok jeden jeszcze, chociaż rok już także mija od czasu jak jesteśmy zaręczeni.

— Zapewne odłożyłeś pan termin ślubu swego dla lepszego wzajemnego poznania się z narzeczoną? spytał p. Andrzej.

— O, tego już nam nie potrzeba, żywo dparł Bolesław. Ja znam pannę Wincentę od dzieciństwa, a okoliczności tak się składały, że od lat pięciu t. i. od pory w której straciła ojca i została zupełną sierotą, bo matki nie miała już oddawna, widywaliśmy się codziennie prawie.

Zwłoka ta została postanowioną skutkiem uwagi, że lepiej jest zawsze, jeśli kobieta przyjmuje na siebie obowiązki żony i gospodyni, a może i mające wkrótce nastąpić trudy macierzyństwa, wtedy gdy jest już w pełni rozwoju swoich sił moralnych i fizycznych. Zresztą ona tak chciała, a niech mię Bóg broni abym przeciw woli jej miał przyspieszać choć o jeden dzień spełnienie najgorętszych życzeń mego serca.

— I panu to oczekiwanie nie wydaje się zbyt trudnem? spytał p. Andrzej, przypatrując się silnemu rozplómiennieniu oczu, jakby elektrycznemu prądowi, który przebiegał po twarzy Bolesława gdy mówił o narzeczoną.

— Nie, odrzekł Topolski, widujemy się bardzo często, pewny jestem że posiadam jej serce i że ją posiadać będę, a to mi wystarcza. Zresztą i terazniejszość daje mi tak wiele żywych radości, że gdybym był najpierwszym z poetów w świecie, nie wiem czybym je wszystkie wypowiedzieć był w stanie.

— Sielanka, prawdziwa sielanka! szepnął do siebie p. Andrzej, a głośno dodał: prawdziwie, jak słucham pana mówiącego mi o swą narzeczoną, zdaje mi się że słyszę pieśń śpiewaną wśród pól i gajów, przy odgłosie fujarki pasterskiej i szmerze strumyka. Jakże bym pragnął widzieć narzeczoną pańską.

— O, nie łatwiejszego! z żywem zadowoleniem zawołał Bolesław, ujmując obie ręce swego gościa; to tak blisko, kilkaset kroków zaledwie jeśli przez gaj pójdziemy. Jeżeli pan chcesz, możemy tam pójść natychmiast. Ja także będę bardzo szczęśliwym mogąc pokazać ją panu, pochwalić się z nią...

Rzekłszy ostatnie słowa z radością i dumą kochającego mężczyzny, Bolesław wstał z ławki i patrzył na swego gościa z niepokojem, jakby obawiał się aby propozycja jego odrzucona nie została.

— Hm, odparł namyślając się pan Andrzej, będzie to trochę oryginalny postępek z mej strony, ale mam nadzieję że znajome pańskie przebaczą turystyce i staremu dziwakowi, chęć poznania ich, jaką pan obudziliście we mnie. Pójdźmy!

Bolesław jednym skokiem wpadł do wnętrza domu i przyniósł gościowi swemu jego kapelusz.

— Jeden jeszcze warunek, kochany mój i uprzedźmy gospodarzu, rzekł p. Andrzej. W Adampolu będą niespokojni o mnie, jeśli przed zachodem słońca nie wrócę — raczcie tam posłać kogo z wiadomością że się tu znajduję i z prośbą odenie aby dziś wieczorem przysłano tu moje konie po mnie.

— O, na to ostatnie nie zgadzam się, zawołał Bolesław; posłańca z wiadomością posłę, ale konie nie trzeba bo pan moimi odjedziesz, i nie dziś ale jutro. Chcąc nie chcąc, musisz pan u mnie przenoćować — jesteś moim gościem, a po staropolsku gość to niewolnik, który nie ma prawa wyjechać kiedy chce, ale kiedy gospodarz domu go wypuści, wymógłszy wprzód obietnicę że prędko wróci do swego chwilowego więzienia.

— Ha! rzekł pan Andrzej, niechże i tak będzie!

Miło mi i dobrze z panem, to i po cóż mam się wyrywać. Na żadną ekskursję i tak nie wybierałem się jutro.

Uściskali się serdecznie, po prostu. W uściskaniu tem nie znać było, że jeden z nich bogatym człowiekiem i sławnym w kraju uczonym, a drugi prostym zagrodowym rolnikiem.

Braterstwo ducha szybko owinęło i połączyło tych dwóch ludzi, tak jak wonny powój owija i łączy jednemi splety wspaniałe i cenny modrzew, z pospolitym ale silnym i szlachetnym dębem.

(d. c. n.)

Jan Ludwik Uhland.

(Dalszy ciąg).

SPOKÓJ WIOSNY.

Niechę w ciemnym leżęć grobie,
I pod zieloną murawą,
Chciałbym wiecznie spocząć sobie,
Bujną otoczony trawą.

Trawa z kwieciami, niech mnie słońci,
Niech mi flet przygrywa zdala,
A nademną niechaj goni,
Wiosenny obłoków fala.

J. Prusinowski.

Pogadanki naukowe.

I.

Kraje elektryczne. — Zjawiska, fizyki kuli ziemskiej. Osobliwości elektryczne. — O miejscowościach sprzyjających zjawiskom elektrycznym. — Odgłosy odzywające się podczas burzy. — Elektryczność w miastach. — Błyskawice w salonach. — Niebezpieczne pocałunki. — Iskry wydobywające się z końca nosa. — Włosy powstające na głowie, — niepodobieństwo uglądzenia ich — Strusie błyszczące. — Ukłucia elektryczne. — Pieczenie. — Silny ból. — Przestroga dla turystów wstępujących na góry. — Syczenie śniegu. — Kije śpiewające i brzęczące skały. — Koncerta elektryczne. — Illuminowane gór wierzchołki. — Błyskawice na łąkach. — Jeziora pokryte ogniem.

Sprawdzenie czy są kraje więcej elektryczne od innych, nie może być obojętnem nauce, gdyż być może, że nawet w największych odległościach, nierówna ilość elektryczności, wywołuje rozliczne reakcje meteorologiczne. P. Fournet, uczony professor z Lugdunu, w jednej z ostatnich konferencji swoich obszernie traktował ten przedmiot, przytaczał i grupował metodycznie fakta najmniej znane, i żywe w słuchaczach obudził zajęcie. — Oto treść jego prelekcji.

Ważne wypracowanie pana de Saussure, słynnego badacza Alp o hydrologji Meksyku, wykazuje, że w kraju tym odznaczającym się bezmierną ewaporacją, z końcem zimy na wyniosłych równinach nastaje ogromna susza.

Wtedy pary nie zasępiają czystości nieba, a wydobywanie się iskier w zetknięciu z przedmiotami, objawia się chwilowo z niezwykłą siłą. To napięcie elektryczne utrzymuje się jeszcze w pełnej porze deszczów, gdyż kiedy w sierpniu 1856 r. pomimo niejednokrotnie ponawianych przez krajowców ostrzeżeń, p. de Saussure wstępował z p. Peyrote na Nevada Toluca, niezadługo otoczyła ich lodowata mgła, groźny zwiastun nadchodzącej burzy. Jakoż niebawem gwałtowny wichur połączony z drobnym gradem, szalone błyskawice i grzmoty odzywające się co chwila z piekielnym łomotem, zmusiły ich do odwrotu. Burza zdawała się uspakajać w miarę zstępowania z góry, aż nareszcie podróżnicy zostali otoczeni mgłą i obrzuceni drobnym gradem, a spojrzawszy na głowy przewodników Indjan, widzieli jak włosy ich jeżyły się i podnosiły. Następnie zaczął rozlegać się w przestrzeni głuchy, nieokreślony odgłos, z początku słaby i niewyraźny, potem co chwila wzmagający się, groźniejszy i przerażający. Było to coś jakby ogólne wrzenie, szmer i łomot podobny temu, jak gdyby ktoś z wielką siłą staczał z wysokości góry całe kupy drobnych kamyków. Straszny ten huk trwał najmniej pięć minut, poczem znów dały się słyszeć pioruny i grzmoty, i burza powoli zaczęła się uspakajać.

W kilka lat później, p. Craveri fizyk z Meksyku, był świadkiem tegoż samego fenomenu. Tak on jak jego przewodnicy doznawali silnych wstrząśnień elektrycznych, w palcach, w uszach, w nosie i w innych częściach ciała, po których także słyszeli głuchy odgłos, chociaż grzmoty nie huczały jeszcze. Długie włosy Indjan najeżyły się i jakby stawały do góry,

nadając przez to ich głowom bajeczne rozmiary, co ich niewypowiedzianem przejmowało przerażeniem.

Szczególne te fenomena, sprawdzone przez wielu jeszcze wiarogodnych podróżników, objawiają się głównie w maju, sierpniu i wrześniu, to jest właśnie w porze najburzliwszej także i w Europie, i zarówno jak w niej podczas wiatrów zachodnich.

W Chilmarka (w Meksyku,) w północnej Ameryce i w samym Nowym-Yorku, zrobiono w ostatnich czasach dziwniejsze jeszcze spostrzeżenia.

Według sprawozdań profesora Loomis, w zimie, włosy szczególnie czesane gęstym grzebieniem, bywają tam bardzo często naelektryzowane; im dłużej je czesać, tem więcej najeżają się i powstają jakby goniąc za palcami, i dopiero po mocnem zwilżeniu można je ugładzić.

W téjże porze, wszystkie wełniane części ubioru a szczególnie dochodzące do ziemi, przyciągają do siebie pyłki i kurz unoszący się w powietrzu; dolny brzeg sukien jest całkiem biały od kurzu. I nie tu nie poradzi miotłka; chcąc pozbyć się tego elektrycznego kurzu, trzeba się uciec do wilgotnej gąbki.

Podczas nocy, grube dywany rozłożone w ogrzanych pokojach, wydają jakby przygłuszone skrzypienie i błyszczą gdy się po nich chodzi, jakby ktoś po świecących stapał robakach; a jeśli zacznie się kilkakrotnie tam i napowrót po jednych przechodzić miejscach, natychmiast wytryskuje iskra kilka centymetrów długa. Wiadomo że tak długa iskra, powoduje ból silny i dokuczliwy.

Jeśli ktoś zbliży rękę do klamki chcąc otworzyć drzwi, dozna zaraz silnego ukłucia od wydobywającej się iskry. Końce szczypców, lichtarzy, słowem wszelkie przedmioty metalowe, zamieniają się wtedy w pistolety elektryczne; łatwo sobie wystawić jakim wszystko to przejmie strachem dzieci i osoby nieoświecone, zaliczające podobne objawy na karb duchów i strachów.

Ale nie koniec na tem. Dwóch przyjaciół podających sobie dłonie doznają zaraz uderzenia elektrycznego; dwie choćby najlżej dotykające się osoby, pewnego wstrząśnienia. Pocałunek nie raz wtedy grozi niebezpieczeństwem, z ust wydobywa się iskra i mocne sprawia ukłucie; z końca nosa ulatuje miniaturowa błyskawica. Ulicznicy bawią się bardzo ucieszenie, strzelając tak do siebie elektrycznością. Nie jednokrotnie udaje się zapalić gaz, prostem dotknięciem palca do rurki.

U nas podobne fenomena wydałyby się czemś nadzwyczajnem, ale w Ameryce są tak pospolite że już nie zadziwiają nikogo. Jeszcze w końcu zeszłego stulecia zwróciły one uwagę Volney'a, i wtedy już uczony ten podróżnik utrzymywał, że w Ameryce jest daleko więcej elektryczności niż w Europie, jak tego dowodzi gwałtowność burz i uderzeń piorunu, oraz zadziwiająca siła i napięcie błyskawic. W Filadelfii podczas grzmotu, całe niebo staje jak w ogniu. Dodać jeszcze należy że klimat amerykański jest wyjątkowo suchy.

W Afryce i w niektórych okolicach Ameryki południowej, grzmoty jak najregularniej codziennie słyszeć się dają. Według Boussingault'a, w Popayan, w samym miesiącu maju, bywa w przecięciu dwadzieścia dni srożących się burzą, i jest to już fakt tak powszechnie znany, iż nikt tam nie poważyłby się zaprzeczać Popayańczykom, że mają prawo chlubić się najpotężniejszymi w całej rzeczypospolitej grenadińskiej piorunami i grzmotami. Nie zbyt odległa *Loma de Pitago* równie smutną cieszy się sławą. Znanymi botanik szwedzki Planchman, który mimo przestrogi okolicznych mieszkańców, wybrał się tam, nie zważając że niebo czarną pokryte chmurą, straszną groziło burzą, nigdy już więcej nie wrócił. Z powodu częstych panujących tam grzmotów i piorunów, *el Sitio de Tumba bareto* prawie jest niezamieszkałe. Nie daleko także stamtąd, obok kopalni złota w *Vega de Supia*, murzyn służący za przewodnika pewnemu podróżnikowi, został nagle jakby piorunem rzucony o ziemię.

Ludzie zamieszkujący w niższym Peru, jeśli nie opuszczali stron rodzinnych, nie mają żadnego wyobrażenia o grzmotach i błyskawicach, bo w téj okolicy nigdy ich nie bywa. Wiadomo także, iż w Lima

prawdziwe chmury nigdy nie zasępiają atmosfery i zdarzają się jedynie mgły i lekko zamglone obłoczki, *garrnas*.

W Indjach, wszystkie równiny są elektryczne. W Chili równie jak w Nowym-Yorku włosy ludziom powstają na głowie i iskry wydobywają się z gruntu.

Daléj p. Fournet przywodzi słowa doktora Livingstone, utrzymującego iż na wiosnę, w téj porze wielkiej suszy, pustynie Afryki południowej bywają często nawiedzane przez wiatr północny, gorący i tak bardzo elektryczny, że pióra strusie nabijają się mocno, i silne bardzo wydają wstrząśnienia. Za najlżejszem potarciem piór tego ptaka jakąś częścią ubioru, wydobywają się z nich stopy iskier. A fenomen ten nie jest wynikiem gorąca, które bynajmniej nawet nie przyczynia się do jego objawu, skoro najwidoczniejszym jest podczas wiatru północno-zachodniego, a nadto jak twierdzą uczeni Gmelin, Pallas, Müller i Georgi, objawia się także bardzo gwałtownie w lodowatym i suchym powietrzu w Syberji.

W pewnej części Indji angielskich, elektryczność nie małe wyrządza psoty. Telegrafy zaledwie mogą funkcjonować, przekazując najdziwniej poprzekęcane depesze; burze częstokroć wywracają słupy i zrywają druty przewodnikowe.

Też same fenomena napotykamy także w Gatlach zachodnich, w górach Goorgskich, zajmujących od północy do południa, 96 kilometrów długości, 56 kilometrów szerokości, i od 1000 do 1800 metrów wysokości. Tu burze odznaczają się jakimś wspaniałym majestatem; zdaje się jakby z oddali dochodził silny odgłos niezliczonych i nieustannych strzałów armatnich, wydobywających się z bezmiernego nagromadzenia olbrzymich chmur, ciągle illuminowanych błyskawicami.

Lecz nie tylko te tak odległe od nas okolice, zdają się być tak bogato uposażone elektrycznością, i bliżej nas, jak w Alpach i otoczonych wzgórzami dolinami Rodanu, podobne napotykamy przykłady.

I tak, gdy 11 sierpnia 1854 r. p. Blackwell zatrzymał się dla wypoczynku około Grands-Mulets (3455 metrów wysokości) przewodnik jego Coutret, wyszedłszy z kajuty około jedenastej godziny wieczór, spostrzegł że wszystkie szczyty okolicznych wzgórz jakby płonęły ogniem. Zawiadomił zaraz o tem współtowarzyszów podróży, wszyscy zapragnęli zobaczyć tak niezwykle zjawisko, i wyszedłszy na pokład statku ujrzeli jak, mocą działania elektrycznego spowodowanego burzą, wszystkie otaczające ich skaliste wzgórza, wyglądały jakby illuminowane. Suknie wszystkich podróżników formalnie iskrzyły się, a gdy który podniósł rękę, palce jego błyszczały i jakby wydzielaly iskry.

W roku 1767 też same fenomena obserwowano na Górze-Białej. De Saussure, Jalabert i Pietet, wchodzili na grzbiet Brewens'u (2520 metrów wysokości); zachmurzone niebo blizką zwiastowało burzę. Za podniesieniem rąk czuowali jakby lekkie ukłucie w końcu palców, które wzmagało się co chwila, a w końcu stawało się nawet bardzo dojmujące i jakiś rodzaj jakby świstania słyszeć się dawał. Jalabert miał kapelusz opasany złotym galonem, i nagle usłyszał w około siebie jakiś brzęk przerażający, coś jakby odległe dzwonięcie, i jednocześnie ze sprzączki jego kapelusza i z okucia laski, zaczęły się wydobywać iskry. Nareszcie gdy po nad ich głowami burza coraz srożej szaleć zaczęła, zmuszeni byli zejść o blisko 25 metrów niżej; pod tym stopniem wysokości wpływ elektryczności już się nie dawał uczuć.

Następnie p. Fournet przywodzi spostrzeżenia, przekonujące że śnieg nie sprzeciwia się bynajmniej tym ciekawym zjawiskom.

Dnia 10 lipca 1863 r. p. Watson zwiadał wąz Jungfrau w towarzystwie kilku turystów i przewodników. Poranek był piękny, powoli jednak zaczął się zrywać wiatr coraz gwałtowniejszy, a niezadługo zaczął padać śnieg połączone z gradem, co zmusiło karawanę do odwrotu. Nieszczęściem przewodnicy nie znali dobrze drogi, i poprowadzili podróżnych w kierunku Latoch-Setell. Zaledwie zmiarkowano że zblądzili, straszny huk piorunu zagrzmiął w powietrzu, i zaraz potem p. Watson usłyszał ja-

kieś syczenie wychodzące z jego kija. Było to coś jakby odgłos gorącej wody, kipiącej z gotującego się samowara.

Zatrzymano się. Wszystkie trzciny, laski i siekiery będące w posiadaniu turystów powyższe wydawały dźwięki; wetknięto je w śnieg, odgłosy nie ustawały. I dziwne wrażenie sprawiało na podróżnych ten szczególniejszy koncert nowego rodzaju instrumentów, sterzących w ziemi i wydających jednocześnie silne, ostre i dzikie tony.

W tem jeden z przewodników zdjął prędko kapelusz krzyżąc że głowa mu się pali; włosy jego najeżyły się jak u osoby poddanej działaniu bardzo silnej maszyny elektrycznej. Z kolei wszyscy zaczęli doznawać jakby szczypania i uczucia gorąca w twarzach i innych częściach ciała; panu Weston włosy stawały na głowie; zasłona powiewająca przy kapeluszu podniosła się prostopadle w górę, a gdy tylko który z podróżników ruszył palcami w powietrzu, świst elektryczny niezwłocznie słyszeć się dawał. Nawet śnieg padający wydawał jakiś odgłos naśladowujący jakby falowanie gwałtownego gradu.

Każde uderzenie piorunu powstrzymywało natychmiastowo te fenomena, które dopiero w kilka sekund znów objawiać się zaczynały. Wielu podróżników czuwało dość silne wstrząśnienia; prawa ręka p. Watson była przez kilka minut jakby sparaliżowana, wprawdzie odzyskał w niej władzę gdy któryś z przewodników opuścił mu ją gwałtownie, ale przez kilka godzin czuł silny ból w ramieniu, Nareszcie o godzinie w pół do pierwszej po południu, chmury się rozeszły, a jednocześnie ustało powodowane niemi fenomena, trwające blisko dwadzieścia-pięć minut czasu.

P. H. de Saussure przedstawił panu Fournet równie ciekawe pod tym względem spostrzeżenia. Oto jego sprawozdanie:

„Dnia 22 czerwca 1855, wyszedłem z Saint-Moritz (Grizon) i wstąpiłem na cypel Surley'u; jest to góra granitowa której wierzchołek mniej więcej stożkowy, wznosi się do 2.300 metrów wysokości. Przez kilka poprzedzających dni wiatr północny dął niustannie, nareszcie 22 zaczął się zmieniać i blakające się chmury zasłoniły niebo. Około południa mgły te zaczęły się powiększać, potem zbliżyły się po nad najwyższymi wierzchołkami, unosząc się jednak dość wysoko, tak iż prawie nie zasłaniały szczytów Engadiny, po nad którymi wkrótce spadły wielkie, czyste miejscowe ulewy, wydając się z oddali jakby pół przezroczysta *pyłkowata para*, co kazało nam wnosić, że to są przelotne deszcze pomieszane ze śniegiem lub z gradem.

„Około godziny pierwszej spadł na nas drobny i rzadki grad, jednocześnie pomieszany z deszczem, padał na większej części cypła skał. Zimno powiększało się, a o wpół-do drugiej, gdyśmy doszli do wierzchołka Surley'u, zaczął padać tak gęsty grad, iż postanowiliśmy zatrzymać się dla odpocznienia i posiłku, około piramidy suchych kamieni, wieńczącej szczyt góry.

„Stanąwszy, oparłem laskę moją o tę piramidę, i zaraz doświadczyłem żywego bardzo bólu w plecach i w lewej łopatce, jak gdyby mi kto igłę wpychał w ciało. Nie wiedząc skąd pochodzi położyłem rękę w miejscu gdzie ból uczuć się dawał, i w téj chwili doznałem ta kiegoż samego uczucia w prawej łopatce. Zrzuciłem co prędkiej zwierzchnie ubranie, sądząc że sterczy w nim parę szpilek, lecz nie tylko żadnej nie doznałem ulgi, ale przeciwnie ból zwiększał się ciągle, rozchodząc się po całych plecach od jednej do drugiej łopatki, a nadto jeszcze przyłączyło się nieznośne łechtanie i strzykanie, tak iż można było myśleć, że osa lub inny podobny owad spaceruje po mojem ciełe i jadowitem żądłem coraz nowe zadaje mi razy.

„Zdjąłem tużarek i obejrzałem go starannie, ale nie w nim nie znalazłem, a ból zwiększał się niustannie, i na domiar przyłączyło się mocne bardzo palenie. Nie wiedząc prawie co robię, chciałem rozebrać się zupełnie, sądząc że chyba wełniany mój kaftanik zapalił się jakimś sposobem, gdy w tem zwrócił uwagę naszą odgłos szorstki i silny, podo-

bny nieco do wrzenia wody gotującej się w przykry-
tem naczyniu; — to kije nasze wyprawiły taką
muzykę. Wszystko to trwało około czterech mi-
nut. Zrozumiałem nareszcie, że bolesne wrażenia
moje były skutkiem silnego bardzo rozchodzenia się
elektryczności, wydobywającej się ze szczytu góry.

„Doraźne doświadczenia czynione na kiju, nie do-
zwoliły dojrzeć najmniejszej iskierki, najmniejszego
światła widocznego we dnie; jednakże kij drżał w rę-
ku silnie wydając dźwięki. Czy go trzymałem koń-
cem na dół lub do góry, czy całkiem poziomo, drga-
nia były zupełnie jednakie, — po chwili całe obłoki
szarą przybrały barwę, chmury jednak nie równo je
zaległy.

„Niezdługo uczułem że włosy na głowie i brodzie
zaczęły mi powstawać, przyczem doznawałem podó-
bnego wrażenia, jak gdyby mi ktoś przesuwał brzy-
twą po nienamydlonej brodzie. Pewien towarzy-
szący mi młodzieniaszek zawołał, że czuje jakby
ktoś dotykał każdego włoska jego puszczających się
dopiero wąsów, oraz silne bardzo prądy wydobywa-
jące się z po nad jego uszów. Ilekroć podniosłem
rękę widziałem silne prądy wypływające z moich
palców; — jednym słowem silna bardzo elektrycz-
ność wydobywała się z kijów, sukien, włosów, bro-
dy i z wszelkich wystających części naszego ciała.

„Odgłos piorunu dochodzący nas z oddali ku za-
chodowi, ostrzegł że należy opuścić szczyt góry, — ze-
szliśmy więc co prędzej o sto metrów niżej. Kije
nasze coraz słabiej drygały (w miarę zstępowania),
a nareszcie tak słabe wydawały dźwięki, że tylko
za przyłożeniem do ucha słyszeć je było można.
Jak tylko zacząłem schodzić z góry, ból w plecach
ustąpił zupełnie, słabe tylko pozostawiając wraże-
nie. W dziesięć minut później, usłyszeliśmy znowu
w odległej stronie zachodu grzmot i uderzenie
piorunu, ale nie widzieliśmy żadnej błyskawicy,
a wpół godziny po zejściu z wierzchołka góry, grad
ustał, chmury się rozeszły. O godzinie drugiej
minut trzydzieści wieczorem, doszliśmy znów do
wierzchołka cyplu Surleyu, gdzie powitało nas słoń-
ce. Tegoż samego dnia wściekła burza szalała
w Alpach berneńskich, w których jedna z dam an-
gielskich straszłą zginęła śmiercią.

„Mniemaliśmy że też same zjawiska powtarzają się
zapewne na wszystkich wysokich, skalistych szczy-
tach łańcucha Grizonów, aż do horyzontu gdzie ka-
mieniste cyple były, jak ten na którym znajdowali-
śmy się, otoczone kłębammi gradu, któremu przeciw-
nie nie zdawały się podlegać wielkie śnieżyste szczy-
ty Berminy, chociaż najeżone chmury zwieszały się
po nad nimi.

„Powyższe fenomena elektryczne, które możnaby
nazwać *śpiewającymi kijami*, albo *brzęczącym szem-
ranem skał*, chociaż nie nazbyt często, jednak nie-
jednokrotnie wydarzają się w wysokich górach. Ba-
daniem przewodników, jedni nie słyszeli tego nigdy,
drudzy zaledwie raz lub dwa w swoim życiu całym;
należy jednak nie spuszczać z uwagi, że zazwyczaj
objawiają się w dniach brzemiennych burzą, co zwy-
kle odstrasza podróżników do wstępowania na naj-
wyższe szczyty.

Teraz przytoczymy tu jeszcze fenomena, właściwe
pewnym tylko miejscowościom.

P. Fournet zrobił ważne spostrzeżenie, że zauważane
silne rozchodzenie się elektryczności w Alpach, powta-
rza się całkiem odpowiednio w Jura. Wiadomo, że we-
dług pięknej teorii p. Eliasza de Beaumont, osi gór
równoczesnych są równoległe. Zagięcia Alp odtwa-
rzają się w Jura, zaś kątom elektrycznym góry Bia-
łej, odpowiadają także same kąty elektryczne we
Francji, chociaż powierzchnia gruntu jest zupełnie
inna. Może wszędzie jest wypadkiem zrządze-
niem, ale zawsze zasługuje na uwagę. Kraina rozłą-
czająca się u stóp Jura, w okolicach Porentiny i Cour-
taton, zdaje się szczególnie sprzyjać objawom fe-
nomenów elektrycznych; często ukazują się tu błys-
kawice strychujące, których odblask po kilka sekund
jakby ogniem pokrywał łąki. Znacomity inżynier p.
Quiquerez, znany ze swych badań archeologicznych,
ogłosił ciekawe bardzo spostrzeżenia zebrane pod-
czas pobytu w Délémout. Zajmował się wówczas
restauracją pałacu Morimont, wznoszącego się 100

metrów po nad doliną, i kiedy dnia 25 sierpnia 1865
r. kierował pracą robotników, zaskoczyły go dwie
burze, między godziną dziewiątą a dwunastą z połu-
dnia, a trzecia około wpół do czwartej wieczorem.
Opowiada tedy, że przerażająca ilość elektryczności
unosila się nad wszystkimi okolicznymi łąkami, is-
kry wydobywały się nieustannie, w postaci jakby
długiej po darni wijącej się wstęgi, z łomotem i trza-
skiem który z oddali nawet wyraźnie słyszeć się
dawał. Deszcz nie padał, tylko gęsta mgła otacza-
ła wszystko w około.

O trzy lub cztery godziny drogi, na wschód Mo-
rimonta, w przedłużeniu łańcucha Jury, leży Marja
Stein. I tu także, tylko nieco później, pojawiły się gę-
ste błyskawice biegające po łąkach i polach, i tak
złudnie naśladujące pożar, iż niewypowiedziana trwo-
ga ogarnęła mieszkańców.

Na jeziorach także podobne fenomena postrzegać się
dają; szwajcarskie towarzystwo historyczne obserwo-
wało je d. 1 sierpnia 1850 r. między godziną ósmą
a dziewiątą wieczór, żeglując po jeziorze Morat. Nie
zbyt dawno temu, przewodnicy z Nidau przepływa-
jąc jezioro Biennue, widzieli je całe jakby ognistą
powleczone zasłoną.

Wszystkie powyższe przywiedzione fakta dowodzą
niezaprzeczenie, że pewne miejscowości sprzyjają
szczególniej rozwojowi zjawisk elektrycznych.

Pan Fournet podaje fakta, nie wywodząc z nich stan-
owczych wniosków; bo i jakże tego dokazać? Na
pozór we wszystkich stronach, jednako uderzają gro-
my; pioruny spadają na najróżnorodniejsze powierz-
chnie ziemi, czy pola mokre, suche lub leśne, — zaró-
wno jak i zewnętrzne objawy elektryczne pokazują
się na przestrzeniach najodmienniejszej natury,
wśród skał, śniegów, na łąkach jeziorach i. t. p.
Fenomena te wymagają najszlachetniejszego ba-
dania; może nie na powierzchni ale w łonie ziemi na-
leży szukać powodujących je przyczyn, a w każdym
razie naprowadzają na ślad ważnych zjawisk, odno-
szących się do fizyki kuli ziemskiej i meteorologii.

J. Belejowska.

Przegląd muzyczny.

MUZYKA SALONOWA NA DWIE RĘCE.

F. L. Stevich op. 1. *Kwiat na grobowcu Szopena, trzy mazurki* (75 k.). Każdy powinien się dorozu-
mieć z tytułu, że tu naśladowanie stylu Szopena ma-
zurków, niemoże być wzięte za wadliwe gdyż jest ce-
lowe—choć można by było uczcić Szopena i w in-
nym charakterze stylu, ale przyjmujemy je tak jakie-
mi są, bo są zgrabnie napisane, miłe melodje, opra-
cowane czysto, z harmonją naturalną.

J. Ruckgaber. *Czarowne oczy. Pieśń Stigellęgo*
ulożona w formie fantazyi na fortepian, op. 67 (60
kop.) Jest to piosnka melodyjna, arcy znana tym któ-
rzy mają jakie takie pojęcie o *czarach* oczu lub byli
niemi oczarowani kiedykolwiek. Słowem znana wszy-
skim. P. R. uznał za stosowne odziać tę kwestję
formą fortepianową, i dał nam echo wspomnień, *miłą*
fantazją średniej trudności — szczególnie dla tych
którzy nie są zwolennikami klasycyzmu.

MUZYKA KOŚCIELNA.

Moniuszki Stanisława N. 10. Laudate Dominum,
duet na sopran (od fis—fis) i na alt (ais—dis) z towa-
rzyszeniem organu lub fortepianu (kop. 67 i pół).

Dwuspiew ten pisany nadzwyczaj wdzięcznie dla
głosów, a z organami stanowi prawdziwe trio,
jedno drugie uzupełniając, gdyż nie jest owem prostacz-
kowem towarzyszeniem dość zwykłym niestety, ale
bogatą ramą do nieubogiego także w pomysły i obro-
bienie obrazu. Tworzy więc piękną całość z podnio-
słością stylu istotnie kościelnego. Żałujemy, że szcu-
płość zakresu obecnych sprawozdań, nie dozwala nam
wniknąć w szczegółowy sobie piękności miejsc w tym

utworze znajdujących się. Zalecamy tylko zapozna-
nie się z nim, a następnie wykonywanie jak naj-
częstsze.

Symbolika kwiatów i roślin.

PRZEZ

profesora J. Berdau'a.

Tulipan (Tulipe, *Tulipa Gesneriana*). Powszech-
nie znany kwiat cebulkowy, i hodowany w naszych
ogrodach w najrozmaitszych kolorach, jest symbolem
próżności, obok pięknej postaci. I rzeczywiście, tu-
lipan ma okazałą postawę, duży kwiat i wielką obfi-
tość w ubarwieniu, ale brakuje mu zapachu; jest więc
podobny niby człowiekowi pięknej powierzchowności,
któremu brak ducha, brak zasługi i cnót wewnę-
trzych.

Tulipany pierwotne ze Wschodu pochodzące, kwi-
tną u nas zazwyczaj w maju, lecz niektóre ich gatun-
ki w doniczkach hodowane, i sztucznem ciepłem
w cieplarniach popędzone, ukazują się już w marcu
lub kwietniu lub nawet i w lutym, czyli równocze-
śnie z krokusami to jest szafranami, hyjacyutami,
konwaliją doniczkową, kamelijami, azaleami, ro-
dodendronami, cynerariami, epakrydami, auryklami,
anemonami itp. wcześniej-wiosennymi cieplarni na-
szych kwiatami. Holendrzy uchodzący w Europie
za najlepszych ogrodników, i urządziwszy swój dro-
bny kraik jak jeden prawie ogród, zasłynęli w prze-
szłym wieku i na początku bieżącego, szczególnie
wyborną uprawą roślin cebulkowych kwiatowych,
któremi długo zaopatrywali wszystkich lubowników
na całym prawie świecie. Niektórzy holenderscy
spekulanci, zakupiwszy cebulki jakiejś nadzwyczaj
szczególniej i pięknej odmiany tulipana, uważali je
jak dzisiejsze akcje i renty, to jest jako towar, na
którym można było albo ogromnie dużo zarobić albo
też stracić; bo jeśli się trafił amator, to płacił nie-
zmiernie drogo za takie cebulki. Opowiadają, że za
jedną cebulkę tulipana zwaną wicekról, cudnej (ma
się rozumieć) piękności, dano: 30 korcy pszenicy,
62 miarek ryżu, 4 tuczne woły, 12 owiec, 2 beczki
wina a 4 piwa i 2 faski masła. Inną, znów razą, za
120 najpiękniejszych cebulek tulipanowych, ofiarowa-
nych na rzecz domu sierot w Alkmaar, zapłacono
100,000 złotych holenderskich.

Tulipany prócz w Holandji, lubiane są także szcze-
gólnie w Turcji, zwłaszcza od tamiecznych kobiet.
Istnieje tam nawet pewna uroczystość, zwana tu-
lipanową, którą z nadzwyczajnym przepychem ob-
chodzą, szczególnie sultanki serajowe Padyszacha.
W Persji również uroczystość tulipanowa należy do
narodowych. Nawet sama nazwa tego kwiatu, pochodzi
od tureckiego wyrazu *tulipan*, który oznacza nakrycie
głowy czyl turban, a to z niejakiego podobieństwa tu-
lipana do turbana. I pod taką to nazwą otrzymał ze
Wschodu w roku 1559 pierwszą cebulkę tulipanową
Konrad Gesner sławny polihistor i botanik szwajcarski,
który opisał tulipana w r. 1569 jak najdokładniej,
dał go pierwszy poznać pu bliczności europejskiej.
W 180 lat później, Linneusz tworząc dla wszystkich
nazwy naukowe (łacińskie) dwuwyrazowe, użył mia-
roślin na gatunkowego *gesneriana*, na pamiątkę we-
go sławnego naturalisty Gesnera.

Jeśli się zgromadzi parę tysięcy cebulek tulipano-
wych na jednej wielkiej grzędzie, a te prawie ró-
wnocześnie zakwitną, przyznać należy, że taka ro-
zmaitość barw, jaka zazwyczaj w tulipanach panuje,
może oko zając, zwłaszcza kiedy grzęda jest taraso-
wata, jednym spojrzeniem objąć się dająca. W Kon-
stantynopolu w ogrodach Sultańskich, często takie
grzędy tulipanowe widzieć można.

O biżuterjach.

Dawno już nie wspominaliśmy nic o biżuterjach, którym ze względu że są niejako koniecznym dopełnieniem stroju, wypada jednak czasami słówko poświęcić; dziś więc pomówimy o tem z powodu niedawno oglądanego przez nas magazynu pani Hodège, przy ulicy Nowy Świat naprzeciwko figury Kopernika. Magazyn ten zaopatrzony jest w biżuterje wszelkiego rodzaju, a najobficiej w towar ze złota francuzkiego i fałszywych klejnotów. Jestto nasładowanie odrobione z gustem, lekkością i elegancją, podług najnowszych wzorów.

W porze letniej do ubrań spacerowych największą noszą garniturów z lawy, których tu jest wybór niemały, — opiszemy z nich niektóre.

Kolczyki stanowią dwa duże medaljoniki bardzo pięknie rżnięte w małe kanciki, medaljoniki te u góry zakończone są ozdobą z lawy mającą formę piramidalnej jedlinki. Broszka do tego jestto większy znacznie medaljon rżnięty bez żadnej ozdoby. Cena tego garnituru 2 rs. 50 kop.

Drugi garnitur był z tą różnicą, że zamiast medaljonów, były dane czworograniaste małe tabliczki z lawy, na których wyrobione główki mitologicznych bóstw niemało piękności dodawały temu garniturowi; cena 3 rs.

Kolczyki bardzo ładne składające się z pięciu niby festonów z rżniętych pereł lawowych, które u dołu kończą się frendzlą także z lawy; cena takich kolczyków 1 rs. 50 kop.

Garnitur bardzo oryginalny, składa się z dwóch wielkich półksiężyców, z których jeden większy drugi w środku mniejszy, także lubo znacznie większa brosza; cena 3 rs.

Oprócz powyższych wymienionych, w magazynie p. Hodège znajduje się wielki wybór rzeczy lawowych, w ogólności jednak forma powyższych opisanych jest najmodniejszą.

Cena kolczyków z lawy jest od 75 kop. Najmodniejsze nie są ani zbyt długie, ani krótkie, najczęściej składają się z jednego lub dwóch medaljonów.

Naszyjniki najmodniejsze, są to medaljony zwieszające się na pięknych łańcuszkach. Na niektórych wisi kilka takich medaljoników, na innych jeden tylko. Naszyjniki takie zarówno noszone są do sukien wyciętych jak i tych, które zachodzą pod szyję.

Strojniesz naszyjniki składają się z pięciu złotych łańcuszków, spinają się na ramionach wielkimi klamrami, a spadają na piersi w coraz szerszych półkolach.

Niemniej piękne naszyjniki są te, od których spadające medaljony nasładowują emaljowane biżuterje wykopane z Herkulanum, oraz składające się z łańcucha złotego, od którego w odstępach spadają na szyję złote kłosa emaljowane czarno.

Naszyjniki koralowe bardzo są efektowne; najładniejszy z nich składa się z grubego łańcucha złotego, zdobnego w odstępach wielkimi koralami od których spadały koralowe wisiorki (*pendeloque*). Cena naszyjników od 5 rs. do 24 rs.

Bransolety złożone są tu przesłiczne, a tak doskonale nasładowane, że mogą stanowić dopełnienie najwykwintniejszej toalety balowej.

Najwięcej podobały się nam bransolety zupełnie gładkie jakby gruby pasek złoty matowo zrobiony i doskonale złożony, który za całą ozdobę ma na wierzchu wyrobiony guziczek i pętelkę ze złota, na które się niby zapina. Cena tej bransolety rs. 5. Gładkie bez wyrobu 2 rs.

Bransolety nieco dawniejszej formy są po 2 rs. Bransoleta oksydowana, cała wyrobiona w deseń wypukły i nasadzana perłami i nasładowanymi rubinami, właściwa do skromniejszej toalety; cena 8 rs.

Bransoleta wązka emaljowana czarno, środkiem idzie rząd niezbyt wielkich kamieni *crystal de roche*, bardzo efektowna do światła sztucznego. Od bransoletki tej spada stosowna mała sylwetka czarno emaljowana. Cena tej bransolety 13 rs.

Druga szeroka matowo złożona, cała emaljowana w bardzo delikatny deseń czarny, w odstępach ozdobiona paskami przechodzącymi ją wzdłuż z imitacji brylantów bardzo pięknego ognia. Cena jej 18 rs. Wszystkie biżuterje z imitacją brylantów są znacznie droższe od innych.

Guziki do mankietów znaleźć można od 60 kop. Nakoniec wielki wybór łańcuszków do zegarków damskich i męskich od 2 rs. do 5 rs.

Opis deseni do haftu.

Figura 1 i 2ga Całość okrycia „Metternich“ krój N. 1 do 10go.

N. 3 i 4ty. Deseń na serwetę do przykrycia stolika. Rycina 17ta w Ty: Mód N. 32gim.

Meble do ogrodu lub werendy używają się zwykle żłanego żelaza, wyplatane trzcina, lakierowane na żółto. Dla większej elegancji nakrywa się stół, krzesła i poduszka materiałem prać się dającym. Pospolicie bierze się na to niewarowe płótno, haftem tureckim, pasowemi niemi wykonanym. Na serwetę i poduszkę dzisiejszy dodatek podaje deseń naturalnej wielkości. Główne linie deseni robią się łańcuszkowym ścięciem, w greki. Większe i mniejsze listeczki płaskim, ukośnym haftem, gałązki i korzonki cierniowym ścięciem; na łańcuszek nici winny być grubsze, a na płaski haft cieńsze. Serweta powinna być 72 cent. w kwadrat, szlak odstępuje się od brzegu na 2½ cent., brzeg zaś obejmuje pasowym perkałem ¼ cent. szeroko.

Rogi zdobne kwastami z wysiepanego płótna; guzik przytrzymujący kwast powleczone płótnem pasowem.

N. 5 i 6ty. Deseń na poduszkę do oparcia. Rycina 18 i 19 w Ty: Mód Nr. 32gim.

Poduszkę powleka się poszewką haftowaną po jednej stronie, tylna część z przednią zeszyta jest pasową wypustką 1½ cent. szeroką i zapięta na guziki; na rogach po 2 kwasty jak u serwetki 4 centy; długie, u góry spłaszczone, dwoma guzikami zdobne, które się z sobą łączą pasowym krzyżykiem.

Deseń szlaku na serwetę służy także na pas do krzesła, mający 28 — 30 cent. szerokości, jak to rycina przedstawia.

Trzeba aby deseń z obu stron do środka się schodził.

N. 7. Okrągły karczek do damskich koszul lub białych staniczków, pod bluzki.

Rycina 30 w Tygodniku Mód N. 31szym.

Płótno cienkie, przykrawa się podług podanej formy i pokrywa haftowanym batystem, na który deseń podany jest na wzorze kroju. Haft ten otacza koronkowa wstawka, której przyszycie z obu stron wazutki płócienny stembnowany pasek pokrywa. Górne oszycie tego garniowania jest z takiej samej wstawki i płóciennych paseczków, zdobnych haftowanymi supelkami. Następnie podszewka z pod wstawek winna być wykrojona. Koronka 1½ cent. szeroka zmarszczona, otacza wykrój karczka i rękawki.

N. 8. Karczek do koszul damskich podług tym kształtem lub do staniczków pod bluzki klarowne.

Rycina 21 w Ty: Mód N. 32gim.

Przód karczka, podług modelu robi się z 1½ cent. szerokiej tiulowej wstawki i 1½ cent. szerokiej podwójnie złożonej batystowej listewki, którą wzdłuż zszywając okrętką, w przemienne paseczki się urządza. Następnie karczek oszywa się po obu stronach, aplikowanym sposobem, na batuscie haftowanymi gwiazdkami, które zdobne są w środku pajaczkim. Na kroju deseń jest oznaczony. Takie same gwiazdki pojedynczo naszywane, spojone z sobą, stanowią tył karczka i rękawy. Rękawki tak trzeba z karczkiem połączyć, aby na ramię 3 gwiazdki wypadły. Karczek ten oszywa się do koła koroneczką w ząbki 1 cent. szeroką.

N. 9, 10 i 11. Szlaczki do bielizny damskiej.

N. 12 do 18go. Litery do znaczenia chustek od nosa.

Opis kroju sukni z wyciętym stanikiem na przodzie.

Krój Fig 1 — 10.

Suknia z lilla poul de soie przybrana także ruszą i frendzlą.

Po zeszyciu stanika podług liter jednakowych, daje się jeszcze klapka oznaczona N. 4, przyszyta do prawej strony stanika gdzie litery G i R umieszczone. Baskina zmarszczona od S do L przymocowuje się do paska w środku pleców przy literze S. i garniruje skośną falbanką. Rękawy jedwabne dochodzą tylko do łokcia, przystrojone ruszą i frendzlą.

Szmizetka i rękawki tiulowe złożone z bufek.

Okrycie „Metternich“ z kapturkiem dla małych dziewczynek.

Krój Fig. 11 — 15.

Okrycie to może być z tego samego materiału co suknia, lub z czarnego poul de soie albo kaszmiru garnirowane skośną falbanką.

Tylna część okrycia marszczy się i przyszywa do stanu, co pokrywa pasek umieszczony na plecach gdzie litera B, przeprowadzony przez otwory pod pachą, do przycięcia przednich części okrycia. Kapturek marszczy się od E do E, podszywa pliską od G do H i nawleka plecionką gumową do ściągnięcia. Do paska z tyłu dodać można kokardę, a w miejsce falbanki użyć frendzli 5 centymetrów szerokiej.

OSTROWSKIEGO I SPÓŁKI. Główny Skład

AMERYKAŃSKICH MASZYN DO SZYCIA

wszystkich praktycznych systemów dla rzemiosł wszelkiego rodzaju i do familijnego użytku, mieści się przy ulicy Senatorskiej N. 470 naprzeciw kościoła Sgo Antoniego.

Z główniejszych systemów względnie do celu, do jakiego maszyna ma być przeznaczona, polecamy systemy:

*Grower'a i Baker'a,
Wheeler'a i Wilsona,
Singer'a,
Howe'go
i Orth'a.*

Oprócz tego posiadamy maszyny specjalne dla wojsk i maszyny ręczne.

W tymże składzie posiadamy wyroby naszej fabryki jak: *łóżka, fotele składane, wyżymadła, magle, wagi spiżarniane* i inne t. p.

Reperacje maszyn do szycia, uskuteczniamy przez dwa lata bezpłatnie.

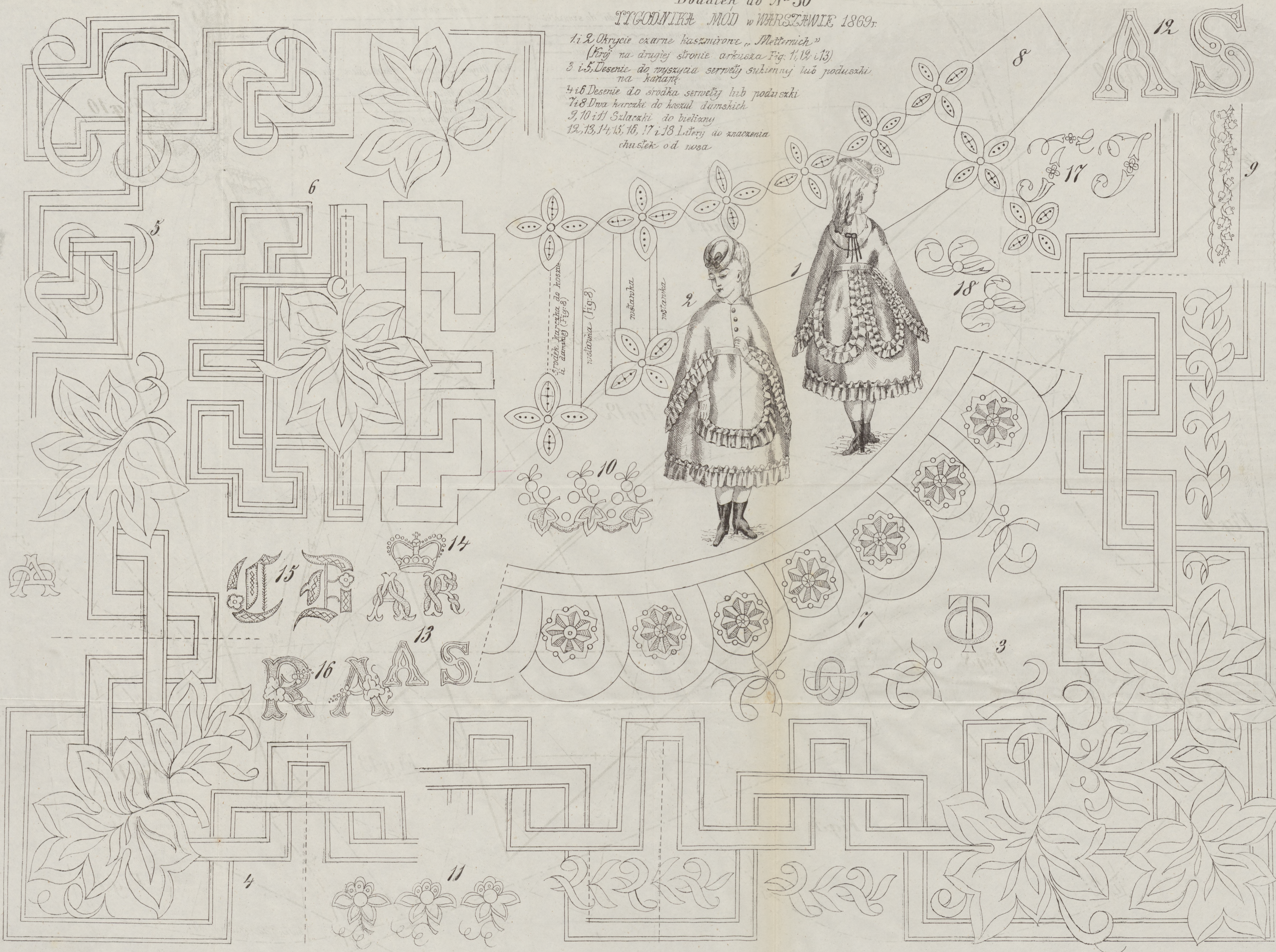
Nauka szycia maszynami, jako też nauka rozbierania, czyszczenia i składania maszyn, bezpłatnie.

(8914).

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu oraz kroje: stanika wyciętego i okrycia „Metternich“ z kapturkiem dla małych dziewczynek.

- 1 i 2 Okrycie czarne kaszmirone „Metternich”
 (Kroj na drugiej stronie arkusza Fig. 11, 12 i 13)
 3 i 5. Desenie do wyszycia serwetki sukiennej lub poduszeki
 na kaniaty.
 4 i 6 Desenie do srodka serwetki lub poduszeki
 7 i 8 Dwa karczki do koscil damskich
 9, 10 i 11 Szlaczki do bielizny
 12, 13, 14, 15, 16, 17 i 18 Litery do znaczenia
 chustek od rusa



szwach karczki do koscil
 i damskiej (Fig. 7)
 wstawka (Fig. 8)
 wstawka
 wstawka

ARRAS

próid stanika (Fig 1)

- №1 Stanik mycicy i przodu do szmicki
 Fig 1 przemia cęci stanika
 " 2 połowa pleców
 " 3 boków do pleców
 " 4 połowa klapki do przodu stanika
 " 5 rękaw
 " 6 wcięcie rękawa
 " 7 bułka do rękawa
 " 8 połowa baskiny
 " 9 połowa falbany do ogarnięcia baskiny
 " 10 całość stanika

- №11 Okrycie „Mitternich” z kapturkiem dla ma-
 łych dziewczynek
 Fig 11 okrycie „Mitternich”
 " 12 połowa paska
 " 13 połowa kapturka
 całość na drugiej stronie
 arkusza

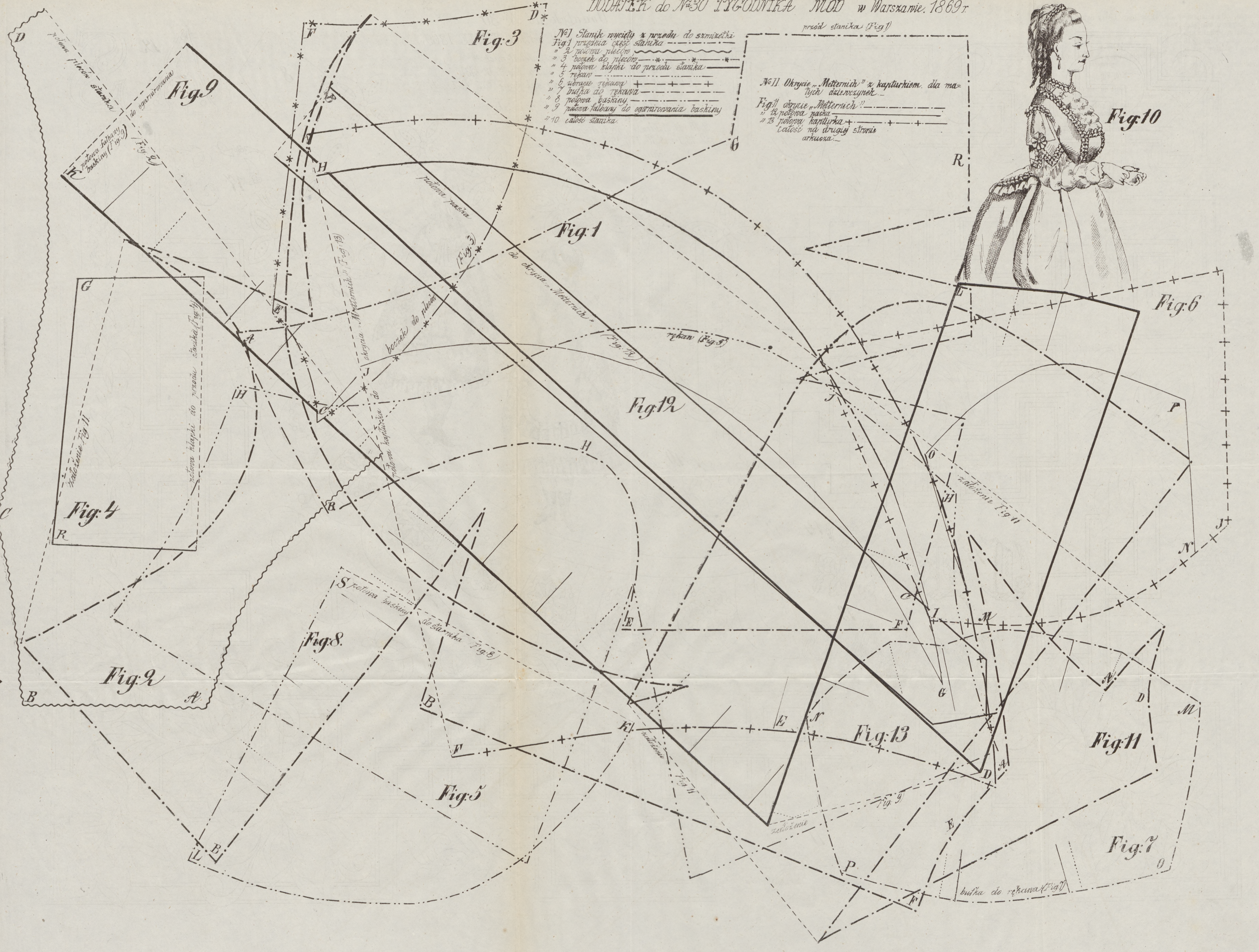
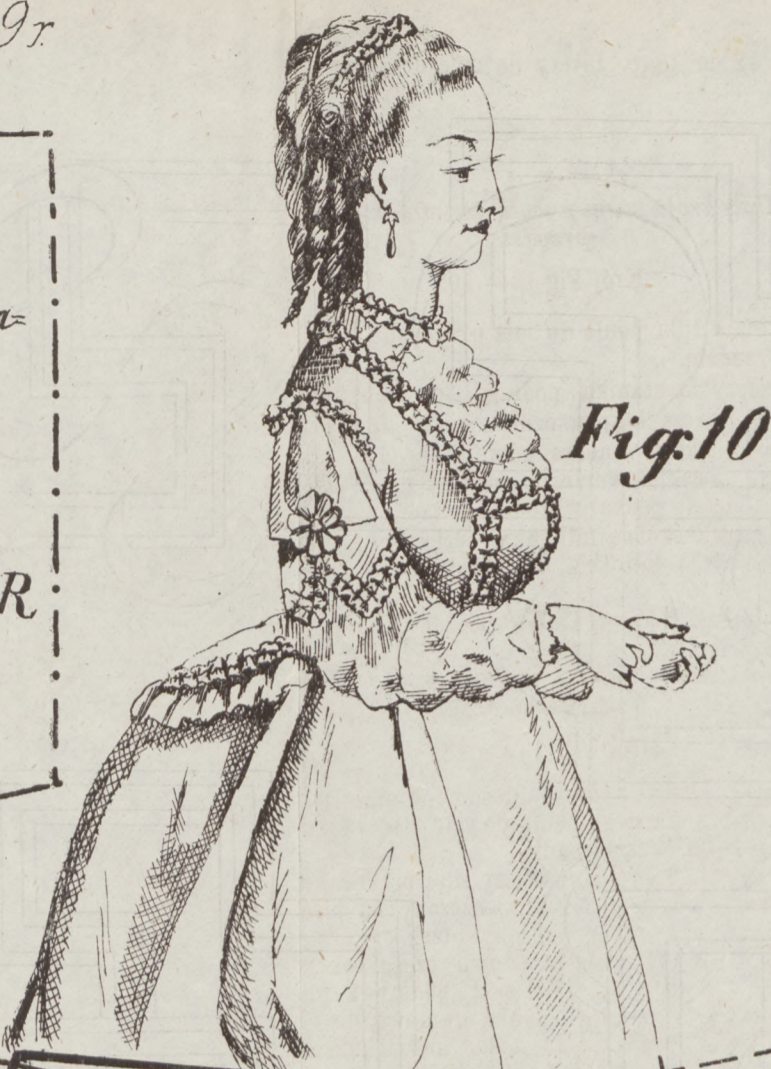


Fig 3

Fig 1

Fig 12

Fig 6

Fig 4

Fig 8

Fig 13

Fig 11

Fig 5

Fig 2

Fig 7

Fig 9

